34331

Marilyn French

MIEJSCE DLA KOBIET

Z angielskiego przełożyły
Bożena Umińska i Ewa Romkowska

Książka i Wiedza

1

Mira ukryła się w toalecie dla pań. Tak nazywała to miejsce przez trzydzieści osiem lat i nigdy nie zwracała na to uwagi, dopóki nie zobaczyła, że ktoś zdrapał z drzwi słowo „pań" i niżej napisał „kobiet". Wiedziała, że „toaleta dla pań" to eufemizm, a eufemizmów z zasady nie lubiła. Nie znosiła także tego, co nazywała wulgarnością, i nigdy, przez całe życie, nawet kiedy miała na to wielką ochotę, nie wymówiła słowa „gówno". No tak, ale mając trzydzieści osiem lat wylądowała właśnie tu, w suterenie Sever Hall, i uważnie czytała słowa nagryzmolone na szaro pomalowanych drzwiach i ścianach toalety.

Siedziała, kompletnie ubrana, na brzegu otwartego sedesu. Czuła się głupio, bezradnie i ciągle spoglądała na zegarek. Cała ta sytuacja miałaby jakiś sens, gdyby był tu ktoś w rodzaju Waltera Matthau w tym jego prochowcu — mroczna twarz, w obszernej kieszeni ręka na rewolwerze — albo ktoś o dzikim spojrzeniu, jak Anthony Perkins — w golfie, świerzbią go te dłonie dusiciela, zaciska je i otwiera. Tak czy inaczej, powinien to być ktoś fascynujący i budzący lęk — ktoś, kto czyhałby na nią w holu na górze, podczas gdy ona panicznie rozgląda się za jakimś drugim wyjściem. Mógłby to być, oczywiście, także chłodny i zdecydowany na wszystko Cary Grant albo Burt Lancaster, przemykający jak cień pod ścianą korytarza, wyczekujący odpowiedniego momentu, żeby stanąć przed Walterem.

I tego, pomyślała smutnie, byłoby aż nadto. Gdyby choć jeden z nich czekał na nią w domu, nie miałaby powodu kryć się w suterenie Sever Hall. Byłaby na górze, z innymi studentami, stałaby oparta o ścianę, a książki leżałyby na podłodze — albo szłaby, niezauważalna, mijając te niezauważające oczy. Gdyby mężczyzna tego rodzaju czekał na nią w domu, czułaby się jak zdobywczyni szczytów gór i spokojnie kroczyłaby samotna w tłumie. Zastanowiła się nad tym paradoksem, ale tylko przez chwilę. Napisy były zbyt interesujące.

„Precz z kapitalizmem i kompleksem przemysłowo-militarnym. Zabić wszystkie faszystowskie świnie!"

Była na to odpowiedź: „Za bardzo upraszczasz. Trzeba znaleźć nowe sposoby zabijania świń, inaczej ich śmierć zrodzi nowe świnie, jak z zębów byka, które posiał Jazon, ta męska szowinistyczna świnia, wykiełkowali wojownicy. Świnie tuczą się świńską krwią! Jedyny skuteczny sposób jest trudny i powolny. Musimy oczyścić nasze umysły z całego tego starego łajna, musimy wszędzie tam, gdzie nas rzuci życie, robić swoje, i to tak przebiegle jak

ta męska szowinistyczna świnia Joyce. Musimy przejść rewolucję wrażliwości!"

Trzecia uczestniczka zapisała swoje propozycje czerwonym atramentem: „Zostań w swoim kokonie. Kto cię potrzebuje? Kto nie jest z nami, jest przeciw nam. Każdy, kto wspiera status quo, stanowi część tego właśnie problemu. Nie ma czasu! Rewolucja trwa! Zabić świnie!"

Dyskutantka nr 2 miała najwyraźniej słabość do tej kabiny, gdyż następne hasło również napisane zostało jej charakterem pisma i tym samym piórem: „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie". Niżej wielkimi wołami szły wściekłe drukowane litery pisane purpurowym flamastrem: „Pieprzona chrześcijańska idiotko! Udław się swoimi mądrościami! Tylko władza się liczy! Władza dla ludu! Władza dla biednych! Już teraz giniemy od miecza!

Ten wybuch kończył to sympozjum, ale były jeszcze inne w tym rodzaju, nabazgrane na bocznych ścianach. Prawie wszystkie polityczne. A prócz tego nieaktualne już zawiadomienia o zebraniach SDS*, stowarzyszenia Chleb i Róże oraz Cór Bilitris. Mira oderwała spojrzenie od rysunku, który przedstawiał kobiece genitalia, z napisem pod spodem: „Cipa jest piękna". To znaczy, przypuszczała, że to był rysunek kobiecych genitaliów, choć przypominał kwiat o szerokich płatkach. Nie była pewna, bo nigdy nie widziała swoich własnych — to nie była ta część ciała, którą można by oglądać. Znowu spojrzała na zegarek: teraz już mogła wyjść. Wstała i z przyzwyczajenia spuściła wodę, choć muszla była czysta. Na tylnej ścianie ktoś namalował wielkie strzępiaste litery czymś, co przypominało lakier do paznkoci. Czerwona emalia spłynęła i każda kreska miała grubą perłę u podstawy. Wyglądało to jak krew. „Bywają śmierci na zawsze".

Gwałtownie złapała oddech i wyszła z kabiny.

Był rok 1968.

2

Energicznie umyła ręce, także z przyzwyczajenia, przyczesała włosy ułożone w staranne loki. Zrobiła krok do tyłu, w jaskrawym świetle ubikacji obejrzała uważnie włosy. Miały dziwny kolor. Kiedy zeszłego roku przestała je

* SDS (Students for Democratic Society) — lewicowa organizacja studencka, aktywna w latach sześćdziesiątych, dziś już rozwiązana. (Przypisy opracowała Bronisława Korst).

farbować, zaczęły odrastać nie tyle bardziej siwe, ile z mysiobrązowym odcieniem, więc znów je ufarbowała i tym razem wyszły chyba zbyt pomarańczowe. Przysunęła się bliżej do lustra, sprawdziła brwi i niebieski cień na powiekach — położyła go godzinę temu. Jedno i drugie było w porządku. Znowu odsunęła się, chcąc zobaczyć całą swoją postać. Ale nie mogła. Nawet kiedy zmieniła styl ubierania — gdy przyjechała do Harvardu — w lustrze jej postać nie chciała połączyć się w całość. Mogła się oglądać we fragmentach — włosy, oczy, nogi — ale te fragmenty się nie łączyły. Oczy i włosy nawet do siebie pasowały, ale usta — jakoś w ciągu ostatnich lat ich wyraz się zmienił — zupełnie nie. Same nogi były w porządku, ale nie do tej plisowanej spódnicy. A znowu nogi w zestawieniu z korpusem wyglądały za chudo — chociaż ważyła tyle samo przez ostatnie dziesięć lat. Poczuła ucisk w gardle i szybko odwróciła wzrok. Nie miała czasu na przygnębienie. Zdecydowanie znów skierowała wzrok w stronę lustra, otworzyła szminkę i przeciągnęła nią po dolnej wardze, a jej uważne oczy śledziły tylko usta. Nagle wbrew samej sobie ogarnęła wzrokiem całą twarz, i to w chwili, kiedy zebrało się jej na płacz.

Oparła gorące czoło o zimne kafelki, ale uświadomiła sobie, że to jest publiczne miejsce, pełne zarazków, które przenoszą ludzie. Pospiesznie wyszła z ubikacji.

Wspięła się na trzy kondygnacje starych, skrzypiących schodów uświadamiając sobie, że nietypowa lokalizacja toalety dla pań wynika z tego, że została tu dobudowana, kiedy budynek już dawno stał. Szkoła była zaplanowana dla mężczyzn, a to było miejsce, gdzie — jak jej powiedziano — kobietom po prostu nie pozwalano wchodzić. Dziwne, niby dlaczego? Kobiety w końcu są takie nieważne, czemu ktoś miałby sprawiać sobie kłopot czegoś im zabraniając. Znalazła się w korytarzu o jedną chwilę za późno. Nie było już nikogo, nikt się nie wałęsał, nikt nie marudził za drzwiami sali. Niewidzące oczy, puste twarze, które dziesięć minut temu przemierzały korytarz, znikły. I o to właśnie chodziło, o to mijanie bez dostrzegania. To dlatego się ukryła. To oni sprawili, że czuła się niewidoczna. A kiedy wszystkim, co posiadasz, jest widzialna powłoka, niewidzialność okazuje się śmiercią. — Bywają śmierci na zawsze — złapała się na tym, że powtarza to wchodząc do sali.

3

Może Mira wydaje ci się nieco śmieszna. Mnie też. Ale czuję do niej sympatię, może większą niż ty. Myślisz, że jest próżna i płytka. Tak, myślę, że można tak o niej powiedzieć, ale nie to najpierw przychodzi mi na myśl. Była śmieszna chowając się w toalecie, ale za to właśnie lubię ją bardziej niż za ten grymas małoduszności na ustach. Jej małoduszność wynikała z lekceważenia różnych rzeczy; wybrała dobre maniery, zapominając o ludzkiej życzliwości. Ale było mi jej także trochę żal. I nic więcej.

Bo przecież — w jakimś sensie — to nieważne, czy otwierasz czy zamykasz drzwi, i tak skończysz w pudełku. Nie udało mi się stwierdzić obiektywnych różnic między jednym sposobem życia a drugim. Jedyna różnica, jaką widzę, dotyczy poziomu szczęścia i kulę się ze strachu, kiedy to mówię. Jeśli stary Schopenhauer ma rację, szczęście nie leży w ludzkich możliwościach, szczęście oznacza nieobecność cierpienia, a to się zdarza — jak mówił jeden mój wuj — tylko wtedy, kiedy już nie żyjesz lub jesteś pijany do nieprzytomności. Więc oto Mira ze swoimi pozamykanymi drzwiami, i oto ja, z moimi pootwieranymi drzwiami, i obie jesteśmy nieszczęśliwe.

Spędzam tu samotnie mnóstwo czasu, spacerując wzdłuż plaży niezależnie od pogody i rozmyślam ciągle o Mirze, o Val, Isolde, Kyli, Clarissie, Grecie, o Harvardzie, o 1968 roku. Tamten rok sam w sobie był jak jakieś magiczne drzwi; jeśli się przez nie przeszło, można było więcej nie wrócić. Właśnie przez nie przeszłam i oglądam się na to, co za mną zostało, a to jest jak kraina z baśni: wszystkie te dróżki i szachownica kolorów, pola, gospodarstwa i zamki z wieżyczkami, proporcami i blankami. Chaty pokryte strzechą, przytulne, oświetlone popołudniowym łagodnym blaskiem. I ludzie mieszkający w pałacu, i ci z chat, są postaciami tak samo oczywistymi i dają się natychmiast rozpoznać. Dobry książę, księżniczka czy wróżka mają włosy blond i niebieskie oczy, złe królowe i macochy mają czarne włosy. Zdaje się, że była tam jedna dobra dziewczynka z czarnymi włosami, ale to był wyjątek potwierdzający regułę. Dobre wróżki noszą bladobłękitne szaty i mają złotą różdżkę; złe noszą czarne szaty, są garbate, mają wystające podbródki i długie nosy. Złych królów w bajkowej krainie nie ma, choć jest kilku wielkoludów o marnej reputacji. Jest wiele podłych macoch i starych wiedźm i są miłe starowinki.

Kiedy byłam dzieckiem, kraina z baśni była miejscem, w którym chciałam żyć i osądzałam otoczenie wedle tego, na ile pasowało do tego wzoru: piękno to była bajka, nie rzeczywistość. Zanurzałam się w tej bajce tak głęboko, że stawała się rzeczywistością. Gdybym mogła, chętnie opuściłabym realny świat, porzuciłabym rodziców. Można to uznać za początek schizofrenii, ale wydaje mi się, że w końcu tego dokonałam: żyłam w bajkowej krainie, gdzie było tylko pięć podstawowych kolorów, wyraźne linie i ani śladu puszek po piwie zaśmiecających trawnik.

Jednym z powodów, dla których tak bardzo lubię wybrzeże Maine, jest to, że niezbyt pozwala na bajkowe fantazje. Wiatr jest silny, zimny i mokry — przez całą zimę mam trochę spierzchniętą twarz. Morze przelewa się z łoskotem i ile razy je widzę, zawsze mnie fascynuje, podobnie jak kontur Nowego Jorku na tle nieba.

Słowa się wytarły — wspaniałe, potężne, przytłaczające — och, nie ma znaczenia, jakich użyje się określeń. Morze jest tak tajemnicze, jak tajemnicze jest pojęcie Boga. Ta naga siła ogromnych fal toczących się przed siebie ze złowieszczym łoskotem, roztrzaskujących się o skały i strzelających w górę bryzgami białej piany. Morze jest potężne, piękne, przerażające, a jednocześnie symbolizuje to, o co w ogóle chodzi w życiu. Jest tu też piasek i skały, i inne formy życia, które się nimi żywią — ślimaki, małże. Nazywam skały osiedlami ślimaków, mięczakowym gettem. Z nimi, widzisz, jest tak: ślimaki żyją tu bardziej stłoczone niż ludzie w Hongkongu. Po piasku nie chodzi się łatwo, a szare niebo Maine rozwiera się aż do własnej próżni. To niebo nie ma pojęcia o olśniewających krajach, gdzie dojrzewają oliwki, pomidory nabierają krwistej czerwieni pod ostrym słońcem, a niebo jest prawie tak błękitne jak morze. Tutaj wszystko jest szare: morze, a niebo, skały. Tutaj niebo kieruje się ku północy, do lodowych biegunów. Prawie widać, jak kolory blakną i blakną, w miarę jak niebo sięga północy — aż zupełnie zanikają. Biały świat Królowej Śniegu.

4

Już nie etykietkuję rzeczy. Tutaj wszystko wydaje się takie jałowe i surowe, chociaż pulsuje tu życie: w morzu, w powietrzu, na skałach. Przyszłam tu, żeby uniknąć większej pustki. Kilka mil stąd, w głębi lądu, jest podrzędny college, gdzie prowadzę kursy na temat „Bajki i folklor" (nie mogę od tego uciec) i „Gramatyka 12", głównie dla studentek, które będą chciały dostać się do college'u stanowego, uzyskać uprawnienia nauczycielskie i cieszyć się potem dziesięciomiesięcznym rokiem pracy. Poczekajcie, myślę, tylko poczekajcie, a zobaczycie, jakie to zabawne.

Popatrz na te ślimaki, od których roi się na skałach. Są tu, między stosami głazów, tysiące ślimaków i małż, zbierają się jak mieszkańcy starożytnego miasta. Połyskują od tysięcy lat tymi samymi kolorami: czerwonym, złotym, niebieskim, białym i pomarańczowym. Żyją razem. To nadzwyczajne. Każdy zajmuje własny skraweczek miejsca, nie wygląda na to, żeby któryś walczył o większą przestrzeń. Czy sądzisz, że są ślimaki, które umierają z braku miejsca? Muszą prowadzić życie przede wszystkim wewnętrzne, to jasne. Lubię tu przychodzić i patrzeć na nie. Nigdy ich nie dotykam. Lecz kiedy je obserwuję, myślę, że nie one stworzyły swój porządek, nie one stworzyły zasady własnego życia, to wszystko jest w nich zaprogramowane. Wszystko, co mają do roboty, to żyć. Czy sądzisz, że to złudzenie?

Czuję się okropnie samotna. Mojej przestrzeni mi wystarcza, ale jest pusta. A może nie wystarcza, może przestrzeń oznacza coś innego niż tylko pomieszczenie? Clarissa powiedziała kiedyś, że izolacja jest obłędem. Ona nigdy nie mówi tak sobie, słowa w jej ustach są jak idealnie dojrzałe owoce. Niedojrzałymi się nie zajmuje, dlatego tak często milczy. Sądzę więc, że istotnie izolacja jest obłędem. Ale co mam robić? Na tym jednym czy dwóch przyjęciach w roku, na które bywam zapraszana, muszę słuchać plotek akademickich, warkliwych uwag pod adresem przewodniczącego wydziału (oczywiście za jego plecami), obrzydłych dowcipasów o miernocie dziekana. W Harvardzie plotki akademickie są pretensjonalne i puste, pełne frazesów i podłego strachu, a z wybrańców aż wycieka zadowolenie i brak wrażliwości. W takim miejscu jak to, gdzie wszyscy czują się przegrani, pogwarki są małoduszne i nieciekawe, pełne nienawiści i potępienia, które wynika z obrzydzenia do własnego życiowego niepowodzenia. Nie ma tu wielu

samotnych ludzi, nie licząc kilku bardzo młodych asystentów. Jest kilka, diabli z nimi, kobiet; samotna jest tylko jedna sześćdziesięcioletnia wdowa, która szydełkuje na zajęciach. Czy muszę brać całkowitą odpowiedzialność za swój los? Nie sądzę, żebym była winna temu, że jestem sama. Ludzie mówią — Iso nawet napisała (tak, tak!) — że powinnam pojechać na weekend do Bostonu i pójść do baru dla samotnych. Ona mogłaby to zrobić i spotkałaby kogoś interesującego. Ale ja nie. Wiem, że nie. Ja spotkałabym gogusia w średnim wieku, opalonego, z baczkami (nawet nie z brodą), w modnym garniturze (różowa marynarka, spodnie ciemny brąz), z płaskim brzuchem — trzy godziny gimnastyki tygodniowo albo tenis — i jego pustka zabiłaby mnie szybciej niż moja własna.

Więc spaceruję po plaży. Przychodzę tutaj przez cały rok, od zeszłego września, z chustką na głowie, w dżinsach poplamionych farbą, którą próbowałam doprowadzić moje mieszkanie do użytku, i w haftowanym poncho, które Kyla przywiozła mi z Meksyku, zimą na to wszystko wkładam ciężką, ocieplaną, kurtkę. Wiem, że mnie prawie pokazują palcami, że jestem stuknięta. Kobieta może wydawać się stuknięta, jeśli raz odstąpi od Przenajwyższego Wzoru, jak Mira, która kupiła sobie krótkie plisowane spódniczki, jako że wróciła do college'u. Ale, z drugiej strony, może ludzie mają rację, może jestem stuknięta. Na plaży jest niewiele osób — kilku surfingowców, jakieś kobiety z dziećmi i ludzie, którzy tak jak ja, przyszli pospacerować. Ale wszyscy patrzą na mnie jakoś szczególnie.

No to niech patrzą — mam swoje problemy. Rok szkolny skończył się w zeszłym tygodniu, a w papierkowo-egzaminacyjnym zamieszaniu nawet tego nie zauważyłam, i nagle się stało — dwa i pół miesiąca, i nic do roboty. Urok dziesięciomiesięcznego roku pracy. Dla mnie to jak Sahara ciągnąca się pod oszalałym słońcem. Dobra, pomyślałam, zaplanuję mój kurs na przyszły rok, przeczytam jeszcze więcej bajek i spróbuję zrozumieć głębiej Chomskiego („Gramatyka 12"), poszukam lepiej napisanego podręcznika („Kompozycja 1—2").

O Boże!

Nagle dotarło do mnie, że po raz pierwszy od lat, a może pierwszy raz w życiu, zostałam zupełnie sama i nie mam nic do roboty. Może stąd ten natłok myśli. Wśród wielu myśli, które cisną mi się do głowy, jest i taka, że moja samotność niezupełnie jest sprawą tego miejsca, że tak czy inaczej, choć tego nie rozumiem, wybrałam ją.

Chodzę tak wzdłuż plaży, a w pamięci mam obraz Miry, tych pierwszych tygodni w Cambridge, chwiejącej się na wysokich obcasach (zawsze chodziła chwiejnie na wysokich obcasach, ale zawsze je nosiła), w trzyczęściowym

kostiumie z dzianiny, włosy ułożone i wylakierowane, patrzącej, prawie, prawie w panice, na twarze przechodzących i rozpaczliwie pragnącej jakiegoś uważniejszego spojrzenia, uśmiechu, uśmiechu uznania, które mogłyby upewnić ją, że istnieje. Kiedy myślę o niej, żołądek kurczy mi się z odrazy. Ale jak śmiem pozwalać sobie na takie uczucia wobec niej, kobiety tak podobnej do mnie, tak podobnej do mojej matki?

Czyż nie? Przecież ty ją znasz: to ta matrona ufarbowana na blond, mocno umalowana, trochę wstawiona, z drugim kieliszkiem manhattanu, grająca w brydża w miejscowym klubie. W krajach muzułmańskich kobiety muszą nosić jaszmak i jubbę. Stają się niewidzialne jak białe cienie przemykające ulicami, kupują ryby i jarzyny, wnikają w mrok wąskich uliczek. Ludzie ich nie widzą, a one same mniej różnią się od siebie niż psy, które biegają między kartonami na owoce. Ale tu tylko formy są inne. Tak naprawdę, to nie widzi się kobiety stojącej przy stoisku z rękawiczkami czy pończochami, szperającej między pudełkami z wyrobami zbożowymi, ładującej sześć steków do wózka na zakupy. Ty widzisz jej ubranie, hełm wylakierowanych włosów i przestajesz ją traktować serio. Jej wygląd mówi, że jest godna szacunku, to znaczy — co trzeba dodać — że należy do kobiet, które nie są dziwkami. Ale może ona jest dziwką? Ubranie o niczym nie świadczy. Kobiety są zdolne do wszystkiego. Więc strój nie ma znaczenia. Bez względu na to, czy to żona czy dziwka, kobiety są najbardziej pogardzaną klasą w Ameryce. Możesz nienawidzić czarnuchów i Żydów, i Portorykańczyków, ale też trochę się ich boisz. Kobiety nie wzbudzają nawet tego szacunku, jaki płynie z obawy.

No bo czego się obawiać w tych głupich kobietach, które, żeby zobaczyć, kim są, zawsze biegną po lusterko? Mira życie czerpała z lustra, podobnie jak królowa z *Królewny Śnieżki*. Wiele z nas czyni podobnie: chłoniemy, co ludzie o nas mówią, i wierzymy w to. Zawsze bałam się quizów psychologicznych w pismach: Czy jesteś dobrą żoną? Dobrą matką? Czy potrafisz podtrzymać uczucie w swoim małżeństwie? Wierzyłam Philipowi Wylie*, który powiedział, że matki były generacją żmij, i przysięgłam sobie nigdy, nigdy tak jak one nie postępować. Wierzyłam Freudowi, że „anatomia to przeznaczenie", i próbowałam rozwinąć w sobie rozumiejącą, odpowiedzialną naturę. Pamiętam, jak Martha powiedziała, że nie miała prawdziwej matki; jej matka niczego nie robiła tak,

---

* Chodzi o esej Philipa Wylie: *Kobieta pospolita*. Por. *Super-Ameryka*. Wybór Wiesław Górnicki i Jerzy Kossak, t. 2, Warszawa 1970.

jak przystało kobiecie: zbierała stare gazety i sznurki, nigdy nie odkurzała i każdego wieczoru zabierała Marthę do taniej kafeterii, żeby coś zjeść. Kiedy Martha wyszła za mąż i próbowała zaprzyjaźnić się z innymi małżeństwami, nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Nie wiedziała, że powinna podać coś do jedzenia i picia. Siedziała więc razem z George'em i rozmawiała z gośćmi. Goście wychodzili wcześnie, nigdy więcej nie przychodzili i nigdy jej nie zapraszali. „Poszłam więc i kupiłam «The Ladies Home Journal» i «Good House-keeping»*. Robiłam tak latami, z nabożną czcią. Czytałam to jak *Biblię*, próbując dociec, jak być kobietą".

Często, kiedy spaceruję po plaży, słyszę głos Marthy. I inne głosy. Lily, Val, Kyli. Czasami myślę, że mam w sobie wszystkie kobiety, które kiedykolwiek znałam. Głowę mam pełną ich głosów. One wieją z wiatrem i płyną z wodą, jakby były bezcielesnymi siłami natury. Czuję się, jakbym była medium i jakby cały zastęp duchów z przeszłości krzyczał we mnie, żeby je uwolnić.

Więc tego ranka zdecydowałam, jak wypełnię to puste, rozciągające się przede mną lato. Ja to wszystko zapiszę, sięgnę jak najdalej w przeszłość i spróbuję nadać temu jakiś sens. Wprawdzie nie jestem pisarką, uczę gramatyki (i nienawidzę tego), a także kompozycji dzieła, ale — jak wie każdy, kto miał z tym do czynienia — nie trzeba znać się na pisaniu, żeby tego uczyć. W istocie im mniej wiesz, tym lepiej, bo wtedy nic cię nie krępuje, a jeśli rzeczywiście umiesz pisać, reguły kompozycji zdań, akapitów itp. nie mają dla ciebie znaczenia. Pisanie jest dla mnie trudne. Najlepsze, co mogę zrobić, to zestawić kawałki, fragmenty czasu, fragmenty życia.

Spróbuję uwolnić te głosy. Może pomogą mi zrozumieć, jak to się stało, że one skończyły tak, jak skończyły, i jak to się stało, że ja skończyłam tutaj, czując się jednocześnie porywana przez nie i osamotniona. Wszystko zaczęło się od Miry. Więc jak to się stało, że ocknęła się w wieku trzydziestu ośmiu lat, przyłapawszy na tym, że siedzi ukryta w toalecie?

---

* Czasopisma dla kobiet.

5

Mira była niezależnym dzieckiem, lubiącym ściągać z siebie ubrania i tak odbywać w letnie dni wyprawy do pobliskiego sklepu ze słodyczami. Za drugim razem, kiedy wróciła do domu odprowadzona przez policjanta, pani Ward zaczęła ją przywiązywać. Nie miała zamiaru dokuczać dziecku, ale Mira przechodziła przez bardzo ruchliwą ulicę. Pani Ward użyła długiego sznura, tak że Mira mogła nadal swobodnie się poruszać, i przywiązała go do klamki frontowych drzwi. Wszelako Mira oddawała się nadal niepokojącemu zwyczajowi ściągania z siebie całego ubrania. Pani Ward nie uznawała kar cielesnych, uciekała się jedynie do ostrych wyrzutów i chłodnego traktowania. To poskutkowało. Tak że nawet w noc poślubną rozebranie się wprawiło Mirę w zakłopotanie. Z czasem wściekłość i łzy z powodu sznura ustały i Mira nauczyła się działać na małej przestrzeni. A gdy ją uwolniono, wyglądała na dziecko posłuszne, a nawet nieśmiałe, czasami tylko jakoś ponure.

Była inteligentna: w pierwszym dniu szkoły przeczytała wszystkie podręczniki i znudzona spędziła resztę czasu zabawiając koleżanki z klasy. Przeniesiono ją więc do klasy „bardziej na jej poziomie" — jak to określił nauczyciel. Potem przenoszono ją wyżej kilka razy, ale nie znaleziono odpowiedniej klasy. Miała za to koleżanki bardziej rozwinięte fizycznie, przemądrzałe, bardziej doświadczone. Nie umiała znaleźć z nimi wspólnego języka, wycofała się więc w książki, które trzymała pod pulpitem. Czytała nawet idąc do szkoły i ze szkoły.

Pani Ward, przekonana, że Mira stworzona jest do wielkich rzeczy, co dla tej poczciwej kobiety oznaczało dobre małżeństwo, wyskrobała nieco pieniędzy i posłała ją na dodatkowe lekcje. Dwa lata chodziła na lekcje poprawnego wysławiania się i dykcji, dwa lata do szkoły tańca, dwa lata na lekcje gry na pianinie i dwa lata na lekcje malowania akwarelami. (W młodości pani Ward uwielbiała powieści Jane Austen). W domu uczyła córkę, żeby nie zakładała nogi na nogę, nie wspinała się na drzewa z chłopakami, nie bawiła się w berka na ulicy, nie mówiła podniesionym głosem, nie nosiła więcej niż trzy sztuki biżuterii i nigdy nie łączyła srebra ze złotem. Kiedy te lekcje zostały przyswojone, uznała, że Mira jest „gotowa".

Ale Mira żyła własnym życiem. Była o tyle młodsza od koleżanek z klasy, że nie miała przyjaciółek, ale wydawało się, że jej na tym nie zależy. Czas spędzała

czytając, rysując i marząc na jawie. Szczególnie lubiła bajki i mity. Ale w tym czasie posłano ją na lekcje religii i jej zainteresowania się zmieniły.

W wieku dwunastu lat zajmowała się określaniem relacji między Bogiem, niebem, piekłem i ziemią. Lubiła leżąc w łóżku obserwować księżyc i chmury. Jej łóżko stało przy oknie, mogła więc wygodnie ułożyć się na poduszce i patrzeć. Próbowała sobie wyobrazić tych wszystkich ludzi, którzy zmarli, stojących tam, w niebie. Starała się sprawić, żeby się ukazali, przekonana, że muszą patrzeć na dół i tęsknić za przyjazną twarzą. Nigdy jednak nie udało jej się złowić czyjegokolwiek spojrzenia, a po zapoznaniu się nieco z historią i rozważeniu, ilu to ludzi zamieszkiwało Ziemię, zaczęły ją niepokoić problemy populacyjne zaświatów. Wyobrażała sobie, jak szuka swojej babci, zmarłej trzy lata temu, wędruje bez końca między tłumami i nie znajduje jej. Wtedy uświadomiła sobie, ile ważyliby wszyscy ci ludzie, i że to niemożliwe, żeby pod ich ciężarem nie zawaliły się niebiosa. A może tam w górze przebywa niewielu, a reszta siedzi w piekle?

Ale z tekstów dotyczących problemów społeczeństwa wynikało, że biedni — o których Mira już wiedziała, że to oni są niegodziwi — nie byli tak naprawdę niegodziwi, lecz tylko zdeprawowani przez środowisko. Bóg, Mira czuła to na pewno, jeśli był w ogóle coś wart, powinien spojrzeć przez tę nieprawość w niezepsutą głębię serca i nie powinien skazywać na piekło tych wszystkich młodocianych przestępców, którzy pojawiają się na stronach „New York Daily News". To był skomplikowany problem i kosztował ją kilka tygodni ciężkiej pracy koncepcyjnej.

Żeby go rozwiązać, uznała, że koniecznie musi wejrzeć w samą siebie, nie tylko po to, żeby pojąć, co czuje, ale żeby swoje uczucia dokładnie poznać. Wierzyła, że naprawdę chce kochać i być kochana, że chce być dobra, zdobyć uznanie swoich rodziców i nauczycieli. Ale jakoś nigdy jej to nie wychodziło. Ciągle robiła matce złośliwe uwagi i czuła się urażona zrzędzeniem ojca oraz tym, że traktują ją jak dziecko. Wiedziała, że ją okłamują. Spytała matkę o pewne reklamy w pismach, a ona powiedziała, że nie wie, co to są podpaski higieniczne. Spytała, co znaczy „pieprzyć" — usłyszała to słowo na dziedzińcu szkoły. Matka powiedziała, że nie wie, a później usłyszała, jak szepcze do pani Marsh: „Jak może pani mówić takie rzeczy dzieciom?" Były jeszcze inne rzeczy, w które nie miała prawa wtykać nosa, i to ją przekonało, że być dobrą, według recepty rodziców, a być sobą, to nie to samo. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale przeświadczenie rodziców o tym, co powinna robić, odczuwała jak dławienie za gardło, jak duszenie.

Pamiętała pewien wieczór, kiedy z jakiegoś powodu poczynała sobie bardzo śmiało wobec matki, a poczynała sobie śmiało, ponieważ miała rację, ale matka nie chciała jej tego przyznać. Skrzyczała ją ostro, a ona wyszła na ciemną werandę, usiadła na podłodze, posępna, pełna poczucia krzywdy. Powiedziała, że nie przyjdzie na kolację. Matka wyszła na werandę i powiedziała: „Chodź już, Mira, nie bądź niemądra". Przedtem nigdy nie zrobiła czegoś takiego. Nawet wyciągnęła rękę, żeby ją podnieść, ale Mira siedziała obrażona i nie podała ręki. Matka wróciła do jadalni. Mira o mało się nie rozpłakała. Dlaczego muszę być taka ponura, taka uparta?! — krzyczała na siebie, żałując, że nie chwyciła tej ręki, i pragnąc, żeby matka wróciła po nią. Ale nie wróciła. Po jej głowie krążyła myśl: „Chcę za dużo. To kosztuje zbyt dużo". Co to był za koszt, nie była pewna, określiła to jako „ja sama". Uwielbiała swoją matkę i wiedziała, że kiedy jest ponura i zuchwała, traci jej miłość; czasami pani Ward nie odzywała się do niej przez całe dnie. Jesteś zepsuta, samolubna i zuchwała — ciągle słyszała od matki.

Była niedobra, ale nie chciała być niedobra. Bóg o tym na pewno wie. Byłaby dobra, gdyby to nie kosztowało tak dużo. Ale będąc niedobra, nie była naprawdę zła. Chciała tylko robić to, co chciała robić: czy to było takie straszne? Z pewnością Bóg to rozumiał. Na pewno rozumiał, przecież mówią, że czyta w sercach. A jeśli ją rozumiał, rozumiał wszystkich. Przecież nikt nie chce być zły, każdy pragnie być kochany i aprobowany. Wobec tego piekło jest puste. Skoro jednak piekło jest puste, to po co istnieje? Piekło nie istnieje.

Kiedy Mira miała czternaście lat, przeczytała wszystkie interesujące książki, które mogła wypożyczyć w bibliotece — ale nie pozwolili jej zapisać się do działu dla dorosłych. Zrobiła więc przegląd mało atrakcyjnej domowej biblioteczki. Rodzina nie miała pojęcia, co się tam znajduje: książki same się tu zebrały, były spadkiem z poddasza, po zmarłych krewnych. Mira znalazła zarówno Paine'a *Zdrowy rozsądek* i Nietzschego *Poza dobrem i złem*, jak i Radclyffe'a Halla *Well of Loneliness*, książkę, którą przeczytała, kompletnie jej nie rozumiejąc.

Doszła do przekonania, że nie tylko piekło nie istnieje, ale niebo też. Z powodu braku niebios powstał nowy problem. Bo jeśli nie ma ani piekła, ani nieba, to nie ma też ostatecznej kary ani nagrody, i ten świat jest jedynym, jaki istnieje. Ale ten świat — wie to nawet czternastolatka — jest miejscem potwornym. Mira nie musiała czytać gazet, oglądać eksplodujących statków i płonących miast ani czytać o obozach koncentracyjnych, żeby zdawać sobie

sprawę, jak potworne to miejsce. Wystarczyło tylko rozejrzeć się wokół. Brutalność i okrucieństwo panowały wszędzie: w klasie, na dziedzińcu szkoły, w domach. Pewnego dnia, kiedy szła do sklepu spożywczego, usłyszała dobiegający z ostatniego domu krzyk chłopca i uderzenia pasem. Wychowana w sposób łagodny, była przerażona i zdumiona, że rodzice mogą tak postępować z dzieckiem. Gdyby jej rodzice tak postępowali, byłaby gorsza, niż jest, była tego pewna. Próbowałaby się buntować w każdy możliwy sposób. Nienawidziłaby ich. Jednak ta przerażająca strona życia objawiła się także w jej własnym domu. To miejsce było czyste i pogrążone w ciszy, rzadko rozmawiano przy stole w jadalni. Między matką a ojcem zawsze czuło się napięcie, którego nie pojmowała, często też napięcie pojawiało się między nią a matką. Czuła się jak podczas wojny, w której jako broni używano promieni świetlnych, co lotem strzały przeszywały pokój, raniły wszystkich, a nie można było ich chwycić. Mirę ciekawiło, czy wszyscy ludzie są tak niespokojni wewnętrznie i gotowi do eksplozji jak ona. Patrzyła na matkę, na jej twarzy widziała gorzkie cierpienie i urazę; na twarzy ojca widziała smutek i rozczarowanie. Miała w sobie dzikie, rozwrzeszczane uczucia dla nich obojga — miłość, nienawiść, urazę, wściekłość i rwący ból — ale nie rzuciła się nigdy, nie przypadła do żadnego z nich czy to z miłością czy z nienawiścią. Reguły domowe zabraniały takiego zachowania. Chciała wiedzieć, czy w ogóle ktokolwiek był szczęśliwy. Ona sama miała mnóstwo powodów do szczęścia: była dobrze traktowana, dobrze żywiona, dobrze ubrana, bezpieczna. Mimo to była pełnym zgiełku polem bitwy. Jak to więc jest z innymi ludźmi? Jeśli ten świat ma być jedynym możliwym światem, to nie może być Boga. Żaden życzliwy umysł nie mógłby stworzyć tej ziemi. Pozbyła się zatem problemu usuwając bóstwo.

Następnie zabrała się do planowania świata, w którym nie będzie niesprawiedliwości i okrucieństwa. Główną jego zasadą miało być łagodne traktowanie dzieci i wolność, a cechą wyróżniającą inteligencja. Rządzący w tym świecie — bo nie mogła wyobrazić sobie świata bez rządzących — byli najinteligentniejszymi i najmądrzejszymi członkami społeczności. Wszyscy mieli dość jedzenia, ale nikt nie miał go za dużo. Choć na razie nie zetknęła się z Platonem, doszła do wyraźnie podobnej konstrukcji. Po kilku miesiącach zarzuciła to także. Bo kiedy już raz całą rzecz doskonale zorganizowała, zaczęło ją to nudzić. Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy snuła historie o sobie samej, historie, w których była adoptowanym dzieckiem i pewnego dnia wspaniały

przystojny mężczyzna — nie był to wprawdzie Daddy Warbucks*, choć równie bogaty — przybywał długim czarnym samochodem pod frontowe drzwi państwa Ward i zabierał ją. Uwoził w cudowne, dalekie krainy i kochał do końca swoich dni. Albo historie o wróżkach, które istnieją naprawdę, lecz nie ujawniają się już, bo ludzie przestali w nie wierzyć. Ona jednak wierzyła, kiedy więc zjawiła się wróżka i obiecała spełnić trzy życzenia, musiała się nad nimi długo zastanawiać — w końcu zdecydowała, że najlepsze będzie życzenie, żeby rodzice mieli szczęście, zdrowie i bogactwo, bo wtedy będą ją kochać i odtąd będą żyli szczęśliwie. Kłopot polegał na tym, że zakończenie historii zawsze okazywało się nudne, a nie można już było wymyślać dalszego ciągu. Próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie, gdyby wszystko było doskonałe, ale w żaden sposób jej się to nie udawało.

Później, dużo później ze zdumieniem stwierdziła, że mając piętnaście lat, doszła do wielu przekonań, przy których pozostała przez resztę życia: że ludzie z istoty nie są źli, że doskonałość to śmierć, że życie jest cenniejsze niż porządek, a trochę chaosu służy duszy. A co najważniejsze — że życie jest wszystkim. Niestety, zapomniała o tym i drogo okupiła powrót do tych prawd.

6

A to dlatego, że kiedy dochodziła do tych przekonań, grunt się pod nią obsuwał. Pojawił się bowiem problem seksu. Można się było tego domyślić, prawda? Przez wszystkie te lata rajski ogród rzucał swój cień. Chociaż, jak wskazuje *Genesis* i co podkreśla Milton, to nie seks sam w sobie spowodował upadek, to była tylko pierwsza strefa, gdzie uderzenie dało rezonans. Stawiamy jednak znak równości między seksem i upadkiem, bo tak to się zwykle dzieje. Jestem przekonana, że podstawowy problem z seksem

---

* Daddy Warbucks (dosłownie: Tatuś Forsawojenna). Postać z komiksu *Annie* (lata czterdzieste). Annie jest sierotą w okropnym nowojorskim sierocińcu, która po wielu perypetiach zostaje zaadoptowana przez Daddy Warbucksa, miliardera, niby oschłego, w gruncie rzeczy o złotym sercu. (Komiks *Annie* już nie jest wydawany, ale wystawiono według niego music-hall na Broadwayu, a potem nakręcono film).

polega na tym (teraz zaczynam mówić jak Val), że pojawia się, kiedy jesteśmy już uformowani. Może gdybyśmy przez całe życie byli pieszczeni, ściskani, całowani, nie byłoby to takim wstrząsem, ale nie jesteśmy, to znaczy ja nie byłam i Mira nie była, i potem to silne pragnienie kontaktu cielesnego odbieramy jak gwałt.

Mira dostała pierwszą menstruację, kiedy miała czternaście lat i tak w końcu została wprowadzona w sekret podpasek higienicznych. Zdawało jej się wtedy, że jej ciało się rozpada, a umysł — jak przypuszczała — zaczyna już gnić. Czuła się coraz bardziej rozbita, ale wiedziała, że nie ma na to rady. Pierwszą oznaką tego było, że kiedy w nocy, leżąc w łóżku, próbowała przejść od porzuconych już Boga i Doskonałego Porządku do czegoś bardziej pożytecznego, nie mogła się skoncentrować. Jej myśli błądziły jak we mgle. Wpatrywała się w księżyc i dumała o piosenkach, nie o sprawach wieczności. Wchłaniała zapach letniej nocy i całym ciałem odczuwała ogromną przyjemność. Była niespokojna, nie mogła spać ani myśleć, chciała wstać, uklęknąć na łóżku i opierając się o parapet patrzeć na łagodnie chwiejące się gałęzie i czuć słodycz nocnego powietrza. Nagle poczuła przemożne pragnienie, żeby włożyć rękę pod piżamę, gładzić nią swoje ramiona, boki, wewnętrzną stronę ud. A kiedy to zrobiła, trysnął w niej jakiś dziwny strumień. Położyła się i próbowała myśleć, ale przez jej głowę przelatywały tylko obrazy. Te obrazy pojawiały się ciągle, zdumiewające, i dotyczyły tych samych rzeczy. Miała słowo-klucz na oznaczenie swojej żałosnej kondycji: „chłopcy".

W ciągu tych piętnastu lat, które przeżyła na ziemi, Mira była zupełnie sama i żyła głównie wyobraźnią. Pogardzała dziećmi, które skakały przez skakankę lub bawiły się w berka na ulicy: uważała te zajęcia za głupie. Gardziła pustką i nudą życia dorosłych, którzy zbierali się, kiedy państwo Ward przyjmowali przyjaciół, i uważała ich rozmowy za głupie. Szanowała tylko dwie osoby: swoją nauczycielkę angielskiego, panią Sherman, i Fryderyka Nietzschego. Ale ze wszystkich głupich kreatur, które nosiła ziemia, najgłupsi byli chłopcy. Krzykliwi, dzicy, niechlujni, brudni, głupawi, wesołkowaci i tępi. Wszyscy o tym wiedzieli. Ona była bystra, czysta, schludna, dokładna i mogła dostać najwyższą notę nawet bez uczenia się. Wszystkie dziewczęta były bardziej rozgarnięte niż chłopcy, ale przez kilka ostatnich lat one także zaczęły głupieć. Przez cały czas oblizywały sobie wargi, żeby błyszczały, aż pękała im skóra na ustach. Szczypały się w policzki, żeby były różowe. Paliły w toalecie, choć można było za to wylecieć ze szkoły. Dziewczęta rozgarnięte w klasie szóstej, w siódmej i ósmej zgłupiały. Chodziły grupkami, szeptały ze sobą i chichotały.

Mira nie mogła znaleźć nawet jednej, z którą mogłaby iść rano do szkoły. Ale teraz odkryła, że jeśli nawet nie chce zachowywać się tak jak one, to jednak bardzo chce wiedzieć, o czym szepczą i dlaczego chichoczą. W ten sposób lekceważenie dziewcząt, które jej tak łatwo przychodziło, zmieniło się w palącą ciekawość, przez którą czuła się poniżona.

A ci chłopcy! Czasami, skończywszy pracę z deklinacji łacińskich dziesięć minut wcześniej niż reszta klasy, zerkała na nich ukradkiem. Widziała chude karki, tłuste, brudne włosy, pryszczate twarze. Rzucali kulkami z przeżutego papieru, robili samoloty z kartek i nigdy nie umieli lekcji. Chichotali bez powodu. A dziewczęta patrzyły na nich śmiejąc się lub tłumiąc uśmiechy, jakby to, co robili, miało jakiś sens. To było niewytłumaczalne, ale w końcu nie bardziej niż fakt, że jeśli jeden z nich patrzył na nią, czuła, że serce zaczyna jej łomotać, a twarz czerwienieje.

Ale był jeszcze jeden problem, nawet trudniejszy, bo bardziej zagadkowy od tego, co się działo z nią samą. Otóż chodziło o przemianę chłopca w mężczyznę.

Wszyscy pogardzali chłopcami, patrzyli na nich z góry — nauczyciele, jej matka, nawet ojciec. „Chłopcy!" — wykrzykiwali z niesmakiem. Ale wszyscy admirowali mężczyzn. Kiedy pryncypał wchodził do klasy, nauczycielki (same kobiety) wpadały w nerwowy popłoch i słały mu mnóstwo uśmiechów. Podobnie działo się, kiedy podczas lekcji religii do klasy wchodził pastor: zakonnice gięły się w niskich ukłonach na najróżniejsze sposoby, jakby był królem, kazały dzieciom wstawać i mówić: „Dobry wieczór, ojcze", jakby naprawdę był ich ojcem. A kiedy pan Ward wracał z pracy, to chociaż był najuprzejmiejszym człowiekiem pod słońcem, wszystkie przyjaciółki pani Ward pierzchały do domów, zostawiając w filiżankach kawę wypitą tylko do połowy.

Chłopcy byli śmieszni, kłopotliwi, ustawicznie wdawali się w bójki i popisywali, robili wiele hałasu, a mężczyźni zdecydowanie wkraczali tam, gdzie się coś działo, opanowywali przestrzeń i skupiali na sobie uwagę. Dlaczego? Zaczynała sobie uświadamiać, że coś jest w tym świecie nie tak. W domu dominowała matka; w szkole autorytetami były tylko kobiety, z wyjątkiem dyrektora. Ale świat tego nie potwierdzał. Historie w gazetach zawsze dotyczyły mężczyzn, z drobnymi wyjątkami, kiedy na przykład zamordowano jakąś kobietę, no i Eleonory Roosevelt, ale wszyscy z niej pokpiwali. Tylko strony z przepisami kuchennymi i wykrojami były dla kobiet. Słuchając radia, też stwierdziła, że wszystkie programy dotyczyły mężczyzn lub nawet chłopców takich jak Jack Armstrong, a ona ich wszystkich nienawidziła i nie chciała jeść płatków zbożowych, kiedy matka je kupowała. Jack, Doc i Reggie dokonywali

niesłychanych rzeczy, kobiety natomiast były zawsze wiernymi sekretarkami zakochanymi w swoich szefach albo pięknymi dziedziczkami, które trzeba było wybawiać z opresji. Wszystko to jak z Perseuszem i Andromedą albo jak z Kopciuszkiem i Księciem. To też prawda, oczywiście, że w gazetach były zdjęcia, na których panie w kostiumach kąpielowych trzymały bukiety róż, a na stacji Sunoco wisiał naturalnych rozmiarów plakat z panią w kostiumie, która trzymała „świecę zapłonową". Związek między jednym i drugim zastanawiał ją i rozważała go często i długo. Ale najgorsze, tak paskudne, że nawet o tym przedtem nie pomyślała, było to, iż uprzytomniła sobie, że jej dziecięce marzenia, aby być taką jak Bach, Mozart, Beethoven, Szekspir, Thomas E. Dewey — o których czytała z uwielbieniem — były jakoś niewłaściwe.

Nie wiedziała, jak sobie poradzić z tymi problemami, a lęk i uraza wsparły całą jej upartą dumę. Ona nigdy nie będzie czyjąś sekretarką, ona sama będzie miała przygody. Nigdy nie pozwoli, żeby ktoś tam ją wybawiał. Nigdy nie będzie zajmowała się przepisami kuchennymi i wykrojami, będzie czytała tylko wiadomości i działy rozrywkowe. I nieważne, co jej przyjdzie do głowy na temat chłopców, i tak nie da im tego poznać. Nie będzie nigdy oblizywała warg ani szczypała się w policzki, nie będzie chichotała i szeptała. Nigdy nie da nawet poznać żadnemu chłopcu, że na niego patrzy. Nie zdradzi się z poglądem, że mężczyźni są tylko wyrośniętymi chłopcami, którzy przyswoili sobie trochę manier, i nie zasługują na zaufanie, bo należą do gorszego gatunku. Nigdy nie wyjdzie za mąż, dostatecznie dużo miała przykładów wśród przyjaciół rodziców i już jest ostrzeżona. I nigdy, nigdy nie będzie taka jak te kobiety ze zdeformowanymi ciałami, które widuje. Nigdy.

7

Wróciła do literatury. Szukała książek o dorastaniu, książek, w których znalazłaby samą siebie i swoje problemy. Nie było takich. Czytała więc te cieniutkie, słodziutkie „książki dla dziewcząt", które mogła dostać, ale w końcu zrezygnowała. Zaczęła czytać tandetne powieści, wszystko, co tylko mogła znaleźć w bibliotece, a dotyczyło kobiet. Czytała, nie dostrzegając żadnej między nimi różnicy, Jane Austen, Fanny Burney i George'a Eliota, różne

rodzaje powieści gotyckich, Daphne du Maurier, Somerseta Maughama, Franka Yerby i Johna O'Hary razem z setkami anonimowych, cudownych, fantastycznych opowieści, opowieści miłosnych i przygodowych. Ale nic nie pomogło. Jak człowiek, który tyje, bo je niepożywne jedzenie, więc ciągle jest głodny i ciągle je, tonęła w słowach, które nie nauczyły jej pływać. Cierpiała na nieustanny ból głowy; czasami czuła, że czyta, żeby uciec przed życiem, i tak się w końcu stało: uciekła. Tak samo bolała ją głowa wiele lat później, kiedy wypalała trzy paczki papierosów dziennie. Zaczęła sarkać na szkołę i często udawała chorą, fukała, jeśli nie mogła przy posiłkach siedzieć z książką. Czytała w ubikacji i w wannie, czytała do późna w nocy, a jeśli matka nalegała, żeby zgasiła światło, czytała pod kocem, przy latarce.

Pracowała czasami jako opiekunka do dzieci i węszyła po domach, w których bywała, szukając książek, których nie pozwolono by jej wypożyczać z biblioteki. Pewnego wieczoru trafiła na żyłę złota — znalazła *Forever Amber* i czytała ją podczas swoich dyżurów w sobotnie wieczory, zawsze gotowa wepchnąć książkę do chińskiej szafki stojącej obok, jeśli tylko usłyszałaby samochód Evansów na podjeździe. W końcu przyjaciółka ze szkoły pożyczyła jej *The Fountainhead*. To było to. Traciła oddech nad tą książką. Przeczytała ją dwa razy, a kiedy musiała ją oddać, poprosiła matkę, żeby kupiła jej to na Boże Narodzenie.

Pomimo że te lektury tak ją pochłaniały i zapełniały umysł przez okrągły rok, było to, według niej samej, dno. Był to rodzaj obłędu, coś, przed czym nie ma ratunku, coś złego. To coś pływało w różowoczerwonej wodzie, w dolnej części jej mózgu, próbowała wydostać się z tego, używać innych części mózgu, wyższych. Znudzona czytała lektury szkolne — *Silas Marner*, *Juliusz Cezar*, *The Autobiography of Lincoln Steffens* — lecz uświadomiła sobie, że były one jednak literaturą wyższego rzędu, cokolwiek to znaczy. Dobra literatura, taka, którą jej nauczycielki nazywały dobrą literaturą, nie była uwikłana w codzienne życie. A być uwikłanym, to gorzej niż nie być. Świat to kloaka, ciało jest tylko podstawą, duch i umysł są podniosłe. Zejście w świat zwykłych spraw i rzeczy to jak zanurzenie czystego człowieka w błotnistym bajorze. Może to zostać wybaczone w imię doświadczenia, ale tylko pod warunkiem, że zostanie z tego wyciągnięta nauka i nastąpi powrót do świata wyższych wartości. I było jasne, że kobiety nigdy tego nie robią. Tylko niższa płeć. Och, kilka złych kobiet też, ale już nigdy nie wróciły do świata ducha i umysłu. Kobiety w lekturach były zawsze niewinne, proste i dobre jak Cordelia, Marina i Jane Eyre. I były

dziewicami, no, w ostateczności, dopóki nie wyszły za mąż. Czym może być seks, jeśli na wieki może cię wtrącić w tę kloakę? Chciała być niewinna, prosta i dobra jak tamte, ale nie chciałaby zaznać tych nieszczęść, które się im przytrafiały. Chciała ocalić się przed kloaką, ale tonęła w niej dzień po dniu. Znalazła jakieś przyjaciółki, nawet zaczęła szeptać i chichotać razem z nimi. Sama nie wiedziała, jak się to stało. Przez jakiś czas opierała się magazynom, które one czytały, ale kiedyś je pożyczyła, a potem sama zaczęła kupować. „Seventheen" była pełna porad dla dziewcząt dotyczących ubrania, uczesania, makijażu i chłopców.

Czytała *The Faming of the Shrew* na lekcjach angielskiego; dostała *The Fountainhead* na Boże Narodzenie i przeczytała jeszcze raz. Próbowała znowu czytać Nietzschego i znalazła te fragmenty, gdzie on mówi, że kobiety kłamią, są wyrachowane, chcą zdominować mężczyzn. Nietzsche powiedział: powinieneś wziąć bat, kiedy idziesz do kobiety. 0 co mu chodziło? Matka zdominowała jej ojca, ale nie była kłamczuchą. Mira kłamała, ale tylko po to, żeby wymigać się od szkoły. Było niemożliwością nie szanować Nietzschego, był inteligentniejszy niż nauczyciele, dużo inteligentniejszy niż pan Woodiefield, szef ojca, który kiedyś przyszedł na kolację ze swoją otyłą żoną, a potem matka Miry opowiadała, jaki to on jest bystry. Ale dlaczego Nietzsche powiedział, żeby zabrać bat? Ojciec Miry lubił to, że matka dominuje. W ogóle ją lubił. Jeżeli narzekał i gderał, to na Mirę, nie na matkę. Petruchio powiedział, że Kate* jest jego psem, jego koniem; nauczycielka objaśniła, że to się mieściło w ówczesnych obyczajach. Ale kiedy byli u państwa Mittlow na kolacji, gruby pan Mittlow tylko warknął do swojej żony: „Mleko!", a ona, choć tak duża jak on i tak samo gruba, od razu zerwała się od stołu i pobiegła po dzbanek z mlekiem. Czasami, w nocy, słychać było wrzaski i pani Ward szeptem informowała Mirę, że to pan Willis bije żonę. Powiedziała także, że Niemiec, rzeźnik, który mieszka po drugiej stronie ulicy sam z córką, przywiązuje ją do łóżka, kiedy wychodzi wieczorem napić się, a kiedy wraca, bije ją. Mira nie pytała, skąd matka o tym wie.

Odkąd zaczęła kupować pisma, często spoglądała na półki, na których leżały, i widziała, chociaż od razu odwracała oczy, że na okładkach wielu z nich są zdjęcia kobiet w czarnej bieliźnie, albo kobiety nagie, związane, a nad nimi stoi mężczyzna z batem. W kinie też można było to spotkać. Nie chodziło tylko o filmy wyświetlane w kinie „Emporium", do którego jej przyjaciółkom nie wolno było chodzić, choć podobne filmy grywano i gdzie indziej, gdyż tego

* Petruchio i Katharina — bohaterowie komedii Williama Szekspira: *Poskromienie złośnicy*.

typu rzeczy zdarzały się też w zwykłych filmach, gdzie czasami bohater uderzał bohaterkę, która przedtem poczynała sobie zuchwale i pyskowała tak jak Mira. Wpadał jak wicher, przekładał ją przez kolano, a ona się darła, ale potem go ubóstwiała, wodziła za nim wzrokiem, słuchała go ulegle i kochała wiecznie. To się nazywa podbój i uleganie, jedno jest sprawą męską, drugie kobiecą i wszyscy o tym wiedzą.

8

Te rzeczy wędrowały po jej wyobraźni podobnie jak jej ręce wędrowały po własnym ciele, kiedy leżała w łóżku: zderzenie się żywiołów było prawie nieuniknione. Jej pierwsze doświadczenia z tym, co — jak się dowiedziała wiele lat później — nazywa się masturbacją, były przyjemnie podniecające. Miała ochotę robić to jeszcze, i choć bała się, że może sobie zaszkodzić, to jednak śmiało atakowała nadal. I nieodmiennie jej umysł, kiedy tak zapuszczała się w siebie i dotykała ciała, snuł to, co — jak się dowiedziała wiele lat później — nazywało się fantazjami masochistycznymi. Punktem wyjścia tych fantazji było wszystko, tworzywa do nich nigdy jej nie brakowało. Lekcja historii o traktowaniu kobiet w Chinach, prawa angielskie do XX wieku lub obyczaje krajów muzułmańskich dostarczały materiału na całe tygodnie nowych fantazji. *Komedia pomyłek* Szekspira, sztuki Rzymian, Greków i Anglików roztaczały wizje świata, w którym były dozwolone przeróżne rzeczy. Było też mnóstwo filmów — *Przeminęło z wiatrem* albo ten, w którym naziści zajmują małe holenderskie miasteczko i kwaterują w wielkim domu, gdzie mieszka córka właściciela, lub ten o podłym mężczyźnie, niczym James Mason, który czyha na piękną kobietę. Nawet mniej sugestywne sceny wystarczały, żeby dać upust naładowanej wyobraźni.

Wybierała kulturę, czas i miejsce, i zapełniała całą tę scenę. W centrum było ścieranie się sił. Dużo później, kiedy w końcu zetknęła się z pornografią, okazało się, że jest nieciekawa i głupia w porównaniu z jej wspaniałymi fantazjami, z ich oprawą, kostiumami i dramaturgią. Uświadomiła sobie po tysiącach godzin błądzenia wyobraźnią po ciemnych korytarzach męskiego okrucieństwa, że głównym składnikiem jej podniecenia jest upokorzenie — dlatego ścieranie się sił było nieodzowne. Wszystkie jej kobiece postacie

— czy były szlachetne, odważne, gniewne, silne czy bezradne — i tak musiały podjąć walkę. Natomiast męskie postacie zawsze były takie same: aroganckie, przekonane o męskiej wyższości, bezwzględne i mocno związane z postacią kobiecą. To, żeby kobieta się podporządkowała, było dla mężczyzny najważniejsze na świecie i warte każdego wysiłku. Dopóki on miał całkowitą przewagę, jedynym dla kobiety sposobem walki był opór. Niemniej chwila orgazmu wydawała się Mirze momentem wzajemnego oddania się. Wtedy cały lęk i nienawiść, jaką czuje postać kobieca, obracały się w miłość i wdzięczność, i Mira wiedziała, że postać męska odczuwa to w taki sam sposób. Na tę krótką chwilę składano broń i panowała pełna harmonia.

Ale chociaż miała masochistyczne fantazje, nie działała w ten sposób. Zdawała sobie sprawę z wielkiej różnicy między sztuką a życiem. W kinie i w jej fantazjach krzywdy wyrządzane bohaterce raniły, ale nie zostawiały ran. Nie zostawiały blizn. Nie czuła później nienawiści. W życiu jednak tak nie jest. W życiu takie rzeczy ranią, zostawiają blizny i wywołują nienawiść. Pan Willis bije panią Willis, a ona jest chuda, słabowita, brakuje jej zębów, ma zgarbione ramiona i patrzy na swojego męża wypalonym wzrokiem. Mira nie mogła sobie wyobrazić, żeby pan Willis, też raczej chudy, słabowity i letargiczny, zachowywał się jak Rett Butler. Państwo Mittlow natomiast byli potężni i apodyktyczni. On nosił okulary, ona miała okazałe piersi. Mieszkali w nieskazitelnie czystym domu i toczyli rozmowy o sąsiadach i swoim samochodzie. Nawet jeśli podrywała się na jego komendę, to Mira nie mogła wyobrazić sobie, żeby ją wiązał i torturował.

To seks sam w sobie, rozstrzygnęła Mira, zawiera upokorzenie. To dlatego ona ma takie myśli. Dwa lata temu była sobą, jej umysł był czysty i przejrzysty, zajmował się czystymi i przejrzystymi sprawami. Matematyka była zabawą, rozwiązywaniem łamigłówek, a wśród tych gier intelektu nie lubiła zwracać uwagi na ludzi, rozpraszali ją. I nagle jej ciało zaczęło wydzielać wstrętną substancję o paskudnym zapachu, czuła się obolała, a umysł miała pełen niepokoju. Czy ludzie czują ten zapach? Matka powiedziała, że będzie miała tę przypadłość przez resztę życia, póki się nie zestarzeje. Reszta życia! Krew krzepła na podpasce i ocierała skórę. I ten zapach. Owijała podpaskę w papier toaletowy — zużywała chyba z ćwierć rolki — potem niosła do swojego pokoju, wkładała do kosza z papierami, a potem znosiła na dół i wrzucała do śmietnika. Pięć albo sześć razy dziennie przez pięć czy sześć dni w miesiącu. Więc to jest w środku jej białego, gładkiego ciała? Pani Mittlow powiedziała, że ciało kobiety wytwarza truciznę i musi się z niej oczyścić. Kobiety często szepczą o tym ze sobą, mężczyźni — rozumowała Mira — nie mają do tego

powodu. Nie mają w sobie trucizny, powiedziała pani Mittlow. Matka Miry jęknęła na to: „Och, Doris", ale pani Mittlow nie ustępowała. Tak powiedział pastor, oznajmiła. Zatem mężczyźni sprawują kontrolę nad swoimi ciałami, nie mają do czynienia z czymś takim: bolesnym, krwawym, paskudnym, na co nie ma się wpływu. To była ta wielka tajemnica, lecz chłopcy ją znają i śmieją się z tego, to dlatego trącają jeden drugiego i śmieją się patrząc na dziewczęta. To dlatego są zdobywcami. Kobiety są ofiarami z natury.

Ale nie dość, że ciało, to jeszcze jej umysł nawiedziła niejasna tęsknota, pragnienie czegoś, i to tak nieokreślonego, że kiedy siedziała na swoim łóżku koło okna, myślała, że tylko śmierć to spełni. Zakochała się w Keatsie. Matematyka jej nie cieszyła, nie radziła sobie z rachunkiem różniczkowym. Na lekcjach łaciny wszystko dotyczyło mężczyzn, którzy robili różne głupstwa, tak samo było na historii. Tylko angielski pozostawał interesujący — tu były kobiety, krew, cierpienie. Nadal trzymała się dumnie. Część jej umysłu wycofała się z otaczającego świata, ale to, co czuła, zachowywała dla siebie. Postanowiła, że bez względu na to, co by czuła, nie musi tego okazywać. Była nieśmiała, ale zrobiła się także nieustępliwa, nieobecna wewnętrznie i sztywna jak automat. Jej postawa i chód też zrobiły się sztywne — matka skłaniała ją, żeby nosiła pas elastyczny, chociaż była szczupła, bo może wtedy kołysać biodrami, a chłopcy to zauważają. Do chłopców Mira była nastawiona wrogo, nawet zajadle. Nienawidziła ich, bo wiedzieli. Wiedziała, że oni wiedzą, że są wolni i śmieją się z niej, ze wszystkich kobiet. Te dziewczyny, które śmieją się razem z nimi, też wiedzą, ale nie mają godności. Chłopcy rządzą światem. Jeżdżą na motocyklach, mają nawet własne samochody, wychodzą sami wieczorem, ich ciała nie są zniewolone, są czyste i sprawne, sami rządzą swoimi umysłami i ona ich nienawidziła. Zamorduje, jeśli któryś ośmieli się odezwać do niej. Owszem, mają tę moc, żeby w nocy wciskać się w jej wyobraźnię, ale niech ją za dnia choć musną.

9

Stopniowo, w miarę jak osiągała dojrzałe kształty, chłopcy zaczynali kręcić się wokół niej. Zaczęła też dostrzegać, że chłopcy tak samo mają ochotę na dziewczęta, jak dziewczęta na chłopców. Słyszała też coś niecoś na temat tego,

co nazywa się mokrymi snami. Nadal nie widziała niczego, co by ją łączyło z rodzajem męskim — ale i niczego wspólnego z rodzajem żeńskiem — a jednak chłopcy nie byli już tymi strasznymi obcymi stworami. Też podlegali naturze — to było pocieszające. Ich ciała się zmieniały — a zapach wody kolońskiej i brylantyny upewniał, że oni też, jak dziewczęta, dbają o wygląd. Być może czasami śmiali się z zażenowania, tak samo głębokiego jak jej własne. Być może nie patrzyli na kobiety aż tak z góry, jak myślała. Być może.

Chodziła do małego, lokalnego college'u, i ciągle była bardzo samotna. Wiek przestał być przeszkodą, bo przez rok pracowała jako ekspedientka w sklepie wielobranżowym, żeby zaoszczędzić pieniądze na naukę, bo rodzice przeżywali ciężki okres. Miała osiemnaście lub prawie osiemnaście lat. Dziewczęta w pracy zachowywały się wobec niej przyjaźnie, ale porozmawiawszy z nimi odkryła, że są tak samo nieciekawe jak dziewczęta ze szkoły, interesowały się tylko ubraniami i chłopcami. Jak zwykle uciekła w książki. W 1948 roku randka w sobotni wieczór była koniecznością dla każdego, kto był kimś: Mira często była nikim. Ale jej umysł się ocknął i może nie był tak przejrzysty jak dawniej, za to wchłaniał więcej. Uwielbiała siedzieć, czytać, zmagać się z filozofią moralną Hawthorne'a lub rozważać polityczne następstwa filozofii Rousseau. Była rozczarowana, jeśli swoje własne odkrycia znajdowała w cudzych książkach, a prawie zawsze tak było. Siedziała w kafeterii, pijąc kawę i czytając, a podnosząc oczy spostrzegała chłopców kręcących się z ożywieniem i gromadzących wokół. Była zakłopotana, zdziwiona, nie pojmowała tego, choć pochlebiało jej to. Siadali wokół niej, opowiadali dowcipy, żartowali. Niektórzy zapraszali ją na sobotni wieczór, na randkę. Z jednym poszła do kina. Chciał się „migdalić", ale ona miała to w pogardzie. Pierwszego mężczyznę, który pocałował ją w usta, spoliczkowała. To było mokre i wstrętne; nienawidziła dotyku ludzkiego ciała. Niektórzy zarzucali jej, że w ten sposób dopuszcza się przemocy (jej, która tak się obawiała swojego pragnienia, żeby zaznać męskiej przemocy). To dało jej do myślenia. Jednak z samochodu wysiadała: — Moi rodzice nie pozwalają mi siedzieć w samochodach — wyjaśniała niewzruszenie.

Ale oni nadal kręcili się w kafeterii. Śmiali się, żartowali, zwracali na siebie uwagę. Miała uczucie, że jest jedynym widzem w cyrku pełnym małp, które jedna przez drugą wskakują na stół, drapią się pod pachami i robią miny, dopóki nie zepchnie ich ktoś inny z tej kwiczącej kompanii, żeby pochrząkiwać i robić fikołki. Z jednej strony ich zachowanie bardzo umiarkowanie ją bawiło,

z drugiej zaś była bardzo zdziwiona, że wybrali właśnie ją. Uśmiechała się, słuchając ich żartów, które najczęściej były sprośne, czasami seksualne, wiedziała już dostatecznie dużo, żeby zorientować się, o czym rozmawiają. Nie pojmowała tylko, co w tym zabawnego. Maskowała to uśmiechem, a potem ze zdumieniem usłyszała, że ma opinię dziewczyny łatwej z powodu tolerancyjnej akceptacji egzotycznego języka chłopców.

Dopiero kiedy się o tym dowiedziała, mogła powiązać to ze swoimi kłopotami w samochodach. Dobrze by było, gdyby postępowała zgodnie ze swoimi odczuciami, ale ona przeczytała to i owo z psychologii. Dowiedziała się, że jej forma orgazmu jest niedojrzała i że jeszcze nie przeszła w „genitalną" fazę rozwoju. Dojrzałość to wspaniały cel: wszyscy są tego zdania. Dojrzała kobieta pasuje do mężczyzn: co do tego też panowała powszechna zgoda. Więc teraz, kiedy chłopcy obejmowali ją ramionami lub próbowali ją macać, siedziała biernie, a nawet odwracała się do nich twarzą. Pochylali w jej stronę głowę i całowali. I jeszcze próbowali wepchnąć ten oślizgły język w jej usta. Brr! Ale skoro już ich nie odtrącała tak, jak kiedyś, uznali — z jakiego powodu, nigdy nie pojęła — że należy się im od niej coś więcej. Popychali ją do tyłu, na siłę wkładali jej rękę pod bluzkę lub między uda. Oddychali ciężko. To wszystko budziło jej odrazę. Czuła się jak w czasie inwazji, przemocy. Nie chciała tych ośliniowych ust, tych niezgrabnych, ciężkich obcych łap, tych oddechów na swoim czystym ciele, na delikatnym uchu. Nie mogła tego znieść. Wyrywała się gwałtownie, wdzięczna losowi, że parkowali na jej podjeździe, i nie dbając o to, co pomyślą lub powiedzą, wyskakiwała z auta i uciekała do domu. Czasami biegli za nią i przepraszali, czasami tylko zatrzaskiwali drzwi samochodu, i ruszali z piskiem opon. Nie obchodziło jej to. Przestała chodzić na randki w sobotnie wieczory.

10

Pewnego pogodnego jesiennego dnia (miała wtedy dziewiętnaście lat) wysoki niezdarny chłopak imieniem Lanny, który chodził razem z nią na zajęcia z budowy utworu muzycznego, zbliżył się do niej, kiedy szła przez campus, i zaczął rozmowę. Zauważyła go w sali: wyglądał na inteligentnego i coś niecoś o muzyce wiedział. Rozmawiali długo i nagle, tak jakoś topornie, poprosił,

żeby się spotkali. Była zaskoczona. Spojrzała mu w oczy: lśniły, gdy patrzył na nią. Mirze spodobało się jego zakłopotanie i pewna chropowatość. To była wielka odmiana po tych fałszywych, słodziutkich manierach większości młodych ludzi. Zgodziła się.

Kiedy się ubierała na wieczorną randkę, zauważyła, że jest podekscytowana, że wali jej serce, a oczy mają szczególny blask. Dlaczego? Chociaż miał miły sposób bycia, to przecież w nim samym nie było nic nadzwyczajnego. No bo co? Czuła się tak, jakby właśnie się w nim zakochiwała, choć nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Tego wieczoru złapała się na tym, że traktuje go specjalnie, że się uśmiecha, gdy o coś pytał, a jego twarz wydawała się jej piękna. Kiedy w nocy przywiózł ją pod dom, odwróciła się do niego, a kiedy ją pocałował, odwzajemniła pocałunek. Ten pocałunek przeniknął całe jej ciało. Odsunęła się, a on to zauważył. Pozwolił jej odejść, ale dwa dni później znowu się spotkali.

Lanny podbił ją pewnym rodzajem siły. Miał szaloną wyobraźnię; był swobodny, radosny, niekonwencjonalny. Był psuty — całkowicie akceptowany i całkowicie aprobowany — przez swoją rodzinę, wolny duch, pełen radości, pewny siebie i ekscentryczny. Opowiadał, że kiedy rano wstaje, zabiera do toalety gitarę i siedzi na klozecie, grając i śpiewając. Osłupiała, bo należała do tych, którzy przywykli wstawać rano w cichym domu, w którym takie zachowanie byłoby uznane za naruszenie cudzego spokoju. A on był taki zawsze. Zwoływał przyjaciół, dzwonił do niej nagle, zabierał samochodem do jakiejś tawerny, do kogoś w odwiedziny albo na Greenwich Village. Był niestrudzony, wciąż miał pomysły na nowe wyprawy, albo by zjadł pizzę, albo pograł i posłuchał muzyki, odwiedził kogoś, o kim dopiero co sobie przypomniał, ale kto, oczywiście, jest jego najlepszym przyjacielem. Czasami zabierał ją gdzieś na całą noc, ale rzadko był natarczywy. Zachwycał ją. Czuła, że za nim nie nadąża, przytrzymywana przez obowiązki: rozprawy, które powinna napisać, pracę, do której powinna pójść, książki, które powinna przeczytać — krótko mówiąc, przez odpowiedzialność. Na tę trywialność Lanny wzruszał tylko ramionami; to nie jest to, o co chodzi w życiu. W życiu chodzi o radość. Ciągnęło ją do niego, tęskniła za nim, chciała być taka jak on, ale nie mogła. Więc żyła podwójnie — jego i swoim życiem. Wychodziła na całe noce, potem długo spała w dzień, ale także pracowała. Zmizerniała, była przemęczona i czuła się dotknięta, bo wydawało jej się, że Lanny'emu zależy tylko na publiczności. Jeśli próbowała włączać się do zabawy, jeśli przyłączała się do śpiewających i obejmowała ramieniem jego (a wierzyła, że i swoich) przyjaciół, stawał się chłodny. Miała być dla niego uśmiechem aprobaty, aplauzem, zachwyconym spojrzeniem.

Rzadko bywali sami w nocy, bo kiedy chciała już wracać, wszyscy pakowali się z nimi do samochodu i odwozili ją do domu. Ale kilka razy, kiedy sam ją odwiózł, obejmował ją po drodze, a ona cała obracała się w jego stronę. Lubiła go całować, lubiła, kiedy ją obejmował. Impulsy z głębi ciała już jej nie przerażały; była zachwycona. Uwielbiała to, że pachniał, nie jak większość chłopców, płynem po goleniu albo wodą kolońską, ale sobą. Uwielbiała jego ręce na swoim ciele, a on nigdy nie posuwał się za daleko. Sądziła, że jest zakochana. Zaczęła zapraszać go do domu. Wziął to za dalszą zachętę, i tak prawdopodobnie było, ale Mira, pozwoliwszy sobie na takie uniesienia, zaraz się cofnęła.

Rozmawiali o tym, on całkowicie pewny, ona całkowicie niepewna. Nie mogła ruszyć ani w lewo, ani w prawo. Pragnęła go: ciało pragnęło jego ciała, a psychika potrzebowała tego doznania. Ale pamiętała te smutne prawdy, które na temat seksu przekazała jej matka. Nia miało to nic wspólnego z nieczystością i grzechem: to było o wiele bardziej przekonujące. Seks — powiedziała pani Ward — prowadzi do ciąży: nieważne, co mówią chłopcy, nie ma pewnego sposobu, żeby tego uniknąć. A ciąża prowadzi do małżeństwa, małżeństwa wymuszonego na obydwojgu, a to oznacza ubóstwo, urazy, zaraz zjawi się dziecko i „życie będzie wyglądało tak jak moje". Pani Ward skończyła, a jej twarz była świadectwem tego życia. Mira dawno zauważyła zabiegi ojca o względy matki i miała mu to za złe. Odwrócony policzek, który pan Ward próbował pocałować witając się wieczorem, gorzki grymas w odpowiedzi na to, co powiedział, zarzuty czynione wściekłym szeptem, w nocy, w ciemności, kiedy Mira powinna spać, ciągle odczuwalny niedostatek, który dopiero ostatnio zelżał: to wszystko oznaczało życie, którego nie wybrałby nikt, kto by miał możliwość wyboru. Wspomniała o tym Lanny'emu, powiedziała o strachu przed ciążą. Powiedział, że „użyje czegoś". Powtórzyła ostrzeżenie matki, że nie ma pewnych środków; odpowiedział, że jeśli zajdzie w ciążę, to się pobiorą. Właściwie nawet pierwszy zaproponował, że się z nią ożeni.

Wspominając to, Mira była w stanie wyobrazić sobie coś z tego, co czuł. Poszedł, tak to musiało z jego perspektywy wyglądać, dalej niż na kompromis. Nie miała pieniędzy. Nadawała się do flirtu, była dla niego kłopotem. Proponował małżeństwo: czy którakolwiek kobieta mogłaby chcieć więcej?

Ale te same cechy, które Mira uwielbiała w Lannym, sprawiały, że przerażałby ją jako mąż. Mira rozumiała — która młoda kobieta nie rozumie — że wybrać męża, to wybrać życie. Nie musiała jej tego uczyć Jane Austen. W pewnym sensie to jest pierwszy, ostatni i jedyny wybór kobiety. Małżeństwo i dzieci

uzależniają ją całkowicie od mężczyzny, od tego, czy jest biedny czy bogaty, odpowiedzialny czy nie, gdzie zdecyduje się żyć, jaką wybierze pracę. Zdaje się, że ciągle jest tak samo. Czasami w radiu, w samochodzie słucham piosenki, która jest akurat popularna. Melodia śliczna, a tekst mniej więcej taki: „Gdybym był cieślą, a ty damą, czy chciałabyś mnie kochać, mieć ze mną dzieci?" To od kobiety żąda się, żeby „szła śladami" mężczyzny, niezależnie od tego, jakie życie on wybierze, jakby mężczyzna mógł być substytutem życia. Niemniej rozumiem wahania Miry. Odkryła bowiem niespodziewanie, że sama chciałaby o sobie decydować i realizować swoje życie. To była dla niej rewelacja zapierająca dech, przerażająca; nie wiedziała, jak miałaby to zrobić. Oceniała, że to ni mniej, ni więcej, tylko szokujące, odstępcze, aroganckie wyłamywanie się z porządku społecznego. Nawet przekonanie rodziców, że mogłaby mieszkać osobno, byłoby sztuką nie lada. Ale co ona pocznie sama? Wiedziała mniej więcej, czym chciałaby się zajmować, ale nigdy nie słyszała, żeby kobiety dostawały pracę tego rodzaju. Wiedziała, że chce seksualnej swobody, ale jak by to miała uzyskać?

Kiedy myślała o małżeństwie z Lannym, widziała taki obrazek: ona na klęczkach szoruje podłogę w kuchni, obok płacze dziecko, a Lanny wyszedł na pijatykę z kumplami. Przecież twierdził, że w życiu chodzi o przyjemności, więc jeśli ona zażąda odpowiedzialności, to będzie tą marudną żoną, kulą i łańcuchem, ponurą zmorą, która nie rozumie, że chłopaki to chłopaki. Widziała siebie, jak pochlipując wylewa swoje żale, i jego, jak wykrada się z domu, żeby się pocieszyć z kumplami. Ten film nie miał innego scenariusza, nie umiała nakręcić czegoś weselszego. Rola, jaką ofiarowywał jej Lanny, to nie była rola, której pragnęła. Nadal nie zgadzała się z nim sypiać.

Dzwonił do niej rzadziej, a kiedy wychodzili razem, nie rozmawiał z nią. Zawsze był w centrum grupy. Czasami zupełnie o niej zapominał i ktoś inny odwoził ją do domu. Ale zbliżyć się do niej nikt nie próbował. Było jasne, że jest własnością Lanny'ego. Zaczęła sobie uświadamiać, że zyskała w college'u sławę. Nigdy nie pojęła, jak to się stało. Miała łatwość wypowiadania myśli, używała jej w klasie i poza klasą, i prowadziła rozmowy na wszelkie tematy. Wiodła często poważne dyskusje o konwencjonalej moralności, a nawet o seksie, ujmując temat beznamiętnie, abstrakcyjnie i... z nikłą znajomością rzeczy. Otwarcie przyznawała się do ateizmu, atakowała z pogardą bigoterię i wszelką sentymentalną ckliwość w myśleniu; nie cierpiała tępoty.

Coraz częściej ludzie patrzyli na nią w szczególny sposób, robili dziwne uwagi. Ale nie krytykowali jej myślenia ani manier — krytykowali jej

moralność. Zachowywała się swobodnie, ale wyzywająco, cokolwiek by to znaczyło. Powszechnie uważano, że sypia nie tylko z Lannym, ale i z innymi. Kiedyś zapytała o pracę w księgarni college'u i menedżer — dwudziestokilkuletni mężczyzna z chudą szyją i pryszczatą twarzą — powiedział nie tylko, że jej nie przyjmie, ale także, iż żal mu mężczyzny, za którego wyjdzie. Osłupiała, słysząc to, zwłaszcza że nigdy przedtem go nie widziała, ale on tylko pokiwał głową: słyszał o niej niejedno — powiedział. Jest z tych, które kastrują mężczyzn, dominują nad nimi. Ktoś inny powiedział jej, że w opinii ludzi jest snobką. Któregoś dnia pewien młody człowiek z jej kursu historii podszedł do niej w campusie paląc fajkę. Wydawało się, że chce pogadać, i była nawet z tego zadowolona. Lubiła go — robił wrażenie delikatnego i inteligentnego faceta. Zadał jej kilka pytań: kiedy jej rodzice się rozwiedli? Czy uczono jej doktryny chrześcijańskiej? Stawała się coraz bardziej nieufna i patrzyła uważnie, a on wskazał na jej papierosa mówiąc, że powinna wiedzieć, że nie pali się, chodząc po campusie. Kobietom tego nie wolno — powiedział.

Pewność siebie mężczyzn, którzy ją pouczali, jaka powinna być, doprowadzała ją do wściekłości, ale poza gniewem i pogardą, czuła jeszcze skrępowanie, a jednocześnie uważała, że jest to bezprawie. Ludzie jakby jednoczyli się przeciwko niej, żeby ją zmusić do poddania tego, co zamierzała nazywać własnym „ja". Jakkolwiek jednak było, miała kilku dobrych przyjaciół — Lanny, Biff, Tommy, Don — ci byli zawsze dla niej życzliwi, szanowali ją, czuła się z nimi swobodnie i wesoło. W ogóle nie dbała o to, co ludzie mówią za jej plecami, ale przecież nie chciałaby, żeby mówili jej to w twarz; odsuwała od siebie te komentarze, kwitując je jako głupie i nie znaczące.

Nie przejmowała się również tym, co ludzie mogliby o niej powiedzieć Lanny'emu. Była pewna, że on wie, iż ona go kocha, i wie, że mu nie ufa: była przekonana, że Lanny wie, że jeśli ona z nim nie śpi, to nie śpi też z nikim innym. Ale ich przyjaźń jakoś oklapła. Kilka razy ostro się pokłócili. A jeśli nie toczyli otwartej walki, to zażarcie się siłowali, jakby przyrośli do dwóch końców sznura, który każde ciągnęło w swoją stronę. Rzadko teraz do niej dzwonił. Powiedział, że to przez nią musi spotykać się z Adą, campusową prostytutką. Mira pierwszy raz w życiu poczuła zazdrość.

Ale trzymała się swego. Nie chciała z nim walczyć, ale wszystko, co robił, utwierdzało ją tylko w przekonaniu, że nie można mu ufać. Była tak przestraszona seksem, że nie mogła ryzykować nie mając pewności, że Lanny był i jest tym właściwym mężczyzną. Kiedy byli razem, opowiadał jej tylko o tym, jak wesoło i przyjemnie spędzał czas z przyjaciółmi, i napierał na nią,

BIBL. M. STARSZYNY 1907

żeby poszli do łóżka. Wyglądało na to, że tylko to go w niej interesuje. Kiedy coś opowiadała, prawie nie słuchał. Nie pytał o jej sprawy. Wreszcie zupełnie przestał do niej dzwonić.

Była nieszczęśliwa. Kurczyła się w sobie. Czuła, że musi się wycofać, czuła się pobita, czuła, mimo wszystko, że to był świat, którego pragnęła, i że ten świat musi porzucić. Nie miała wyboru. Próbowała sobie wmówić, że któregoś dnia będzie mogła zacząć żyć tak, jak pragnie, że pewnego dnia to wszystko przyjdzie: przygody, oszałamiające podniecenie i niezależność. Ale wiedziała też, że w takim życiu musi być seks, a nie umiała pogodzić tego zagrożenia z tamtymi pragnieniami. Było dla niej jasne, że wybór leży między seksem a niezależnością — i to ją paraliżowało. Jeżeli kobieta prowadząc życie seksualne zawsze ryzykuje ciążą, a to oznacza zależność, to żyje z mieczem Damoklesa nad głową. Seks — to znaczy poddanie się mężczyźnie. Jeśli chce być w życiu niezależna, musi zrezygnować z seksu. Ta sytuacja była koszmarnym wcieleniem jej masochistycznych fantazji. Kobiety naprawdę są ofiarami z natury rzeczy.

11

Młodzi mężczyźni lubią mówić, że młode kobiety chciałyby być zgwałcone; bez wątpienia to twierdzenie ma łagodzić poczucie winy z powodu presji, jaką wywierają na kobiety, ale jest w nim i źdźbło prawdy. Młode kobiety, złapane w taką psychiczną pułapkę jak Mira, prawdopodobnie w pewnym momencie niemal chętnie zgodziłyby się na rozwiązanie dylematu przez gwałt. Ale gwałt, jaki sobie wyobrażają, jest taki, jak w *The Fountainhead*: wybucha z namiętności i miłości, i nie niesie konsekwencji poważniejszych niż razy i tortury zadane ciału Justyny. Bez połamanych kości, bez obrażeń. Działanie bez konsekwencji, strzała z gumowym grotem, komedia: jak w filmach rysunkowych, gdzie kot, niedźwiedź czy ktoś tam jeszcze po sto razy pogruchotany odradza się jak feniks z popiołów. Tu ideałem jest unieważnienie, to nas oswobadza od surowego, purytańskiego podkreślenia powagi wszelkich spraw.

Seks sam w sobie jest zupełnie nieciekawy dla młodych ludzi. Val mawiała, że młodzi go marnotrawią. Że łączą najwyższe pożądanie z największą nieudolnością. Odpowiedziałam, że dużo czytała Shawa. Val nawet się nie uśmiechnęła.

Z przejęciem ciągnęła swoją myśl: mężczyźni osiągają szczyty pożądania za młodu. Kobiety, czy z obawy, czy z natury swojej fizjologii, osiągają je dopiero w okolicach trzydziestki. Natura — tak sądziła Val — ukształtowała ludzi w różny sposób. To za jej sprawą młodzi mężczyźni gwałcili młode kobiety, zapładniali je i szli dalej swoją drogą, jak bogowie z mitów greckich. Młode kobiety same wychowywały dzieci. Potem, przekroczywszy trzydziestkę, osiągały taki poziom seksualnego naładowania, że — jeśli dożyły tego wieku — przerażały mężczyzn. Mężczyźni — węsząc w tym odwet — uważali je za istoty płci żeńskiej objęte zakazem: matkami, sybillami, wiedźmami, kobietami-skorpionami. W tym czasie wielu starszych mężczyzn, wśród przygód losu lub roztrwoniwszy siły, traciło życie. Wobec tego starsze kobiety usiłowały uwodzić młodych mężczyzn, ale nie życzyły sobie przemocy i gwałtu. Idealne małżeństwo — powiedziała Val — to taki dobrze już zużyty mężczyzna w średnim wieku i młoda kobieta, albo kobieta w średnim wieku i młody mężczyzna. Młoda kobieta zachodziła w ciążę z młodym mężczyzną, a potem opiekował się nią starszy mężczyzna, który nie zamęczał jej wymaganiami seksualnymi, a jeśli się z nią kochał, to miał o tym pojęcie i przynajmniej umiał dać nieco przyjemności. Potem, kiedy dziadek wyciągnął kopyta i ona już się nieco postarzała, słała dzieci w świat, a sama brała sobie młodego, bojowego chłopa, który mógł ją zaspokoić seksualnie, i uczyła go tego, czego nauczyła się od swojego starego.

Najważniejszym problemem dla młodej kobiety było wychowanie dzieci. Kiedy prowadzono rolniczy tryb życia, rzecz wyglądała inaczej; dzieci i zbiory rosły razem. Val twierdziała, że jeśli społeczeństwo życzy sobie dzieci, to powinno dawać na nie pieniądze, jak daje na broń i na bombowce. Gdyby dawano pieniądze, to może ceniono by dzieci trochę więcej, a psuto trochę mniej.

W każdym razie jest prawdą, że młoda kobieta może czasami zachowywać się w sposób — tak go nazwijmy — przyjemnie podniecający. Mężczyźni uznali, że ten sposób zachowania adresowany jest wyłącznie do nich. Bez wątpienia prawie wszyscy stajemy się ładniejsi, bardziej atrakcyjni i elektryzujący, jeśli jest obok ktoś, kto działa na nas seksualnie. Często widywałam młodych mężczyzn zarumienionych, z błyszczącymi oczyma, ale nikt by nie powiedział, że pragną być zgwałceni. Jeśli robią jakieś miłe gesty w stronę kobiety, a później się wycofują, nikt im nie zarzuci, że na darmo rozjątrzyli cipę. W sytuacji Miry po prostu nie było racjonalego rozwiązania dylematu; każdy wybór prowadził w ślepy zaułek. To tak jak w płonącym budynku: nad tobą ogień, przed tobą dwa okna. Z jednego widzisz malutkie sylwetki strażaków z rozpostartą siatką,

nie większą niż paznokieć, drugie wychodzi na plugawe odmęty rzeki Hudson. W takiej sytuacji jedyne, co możesz zrobić, to zamknąć oczy i skoczyć. Ile byś myślała i tak nie wymyślisz, czy lepiej dopaść schodów na górę, bo ogień na razie jest w korytarzu, czy większe szanse przeżycia daje ci woda, czy może siatka.

12

Pewnego wieczoru, po długim okresie milczenia, Lanny zadzwonił i spytał, czy Mira gdzieś by z nim nie poszła. Serce jej lekko zatrzepotało, jak ptak, który złamawszy skrzydło tak długo siedział, aż znowu się zrosło — i teraz niepewnie nim trzepocze. Może Lanny zechce przystać na jej sposób — będą przyjaciółmi, bardzo bliskimi przyjaciółmi, będą się kochać, aż pewnego dnia zaryzykują. W chwili kiedy otworzyła drzwi, już wiedziała, że ona — a przynajmniej jej ciało — kocha tę tyczkowatą, niezgrabną postać z jasnymi, rozkojarzonymi oczyma i długimi rękoma. Ale Lanny był napięty i grzeczny; w samochodzie prawie się nie odzywał.

— Jesteś zły? — zaryzykowała.

— Dlaczego miałbym być zły? — w głosie zabrzmiał ton sarkazmu, wobec którego umilkła.

Po długiej pauzie spytała chłodno:

— Wobec tego dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

Nie odpowiadał. Spojrzała na niego. Poruszał wargami.

— Dlaczego? — nacisnęła.

— Nie wiem — powiedział bezbarwnym głosem.

W głowie miała zamęt. Wyglądało na to, że zadzwonił do niej wbrew swojej woli. Więc co to może być, jeśli nie miłość, jeśli nie coś, co jest czymś więcej niż zwykłe pożądanie? Chciałaby pójść w jakieś spokojne miejsce, gdzie mogliby porozmawiać, ale on jechał do Kelleya, knajpy przy campusie, gdzie bywał cały college. Lokal w typie saloonu, boazeria z sosnowego drzewa, proporce college'u, od frontu długi bar, za nim kilka stołów i grająca szafa, obrusy w czerwoną kratę, ogłuszająca muzyka i zapach piwa. Jak zwykle w sobotę wieczorem panował tu tłok; przy barze stały kolejki. Nie lubiła tkwić przy barach, Lanny zabrał ją w głąb sali i z niecodzienną uprzejmością pomógł jej

zdjąć płaszcz. Usiadła, a on poszedł do baru, żeby przynieść coś do picia. Stoliki mógł obsłużyć kelner, ale przy takim tłoku długo musieliby na niego czekać. Lanny zniknął w tłumie. Mira zapaliła papierosa. Czekała. Zapaliła następnego papierosa. Mężczyźni idący do toalety zatrzymywali się i szacowali ją wzrokiem. Czuła się upokorzona i niespokojna. Powinni tu być jacyś znajomi. Spojrzała w tłum, ale nie dostrzegła Lanny'ego. Zapaliła kolejnego papierosa.

Właśnie go gasiła, kiedy zobaczyli ją Biff i Tommy, wchodzący tylnymi drzwiami. Podeszli do stołu, spytali, gdzie Lanny, i stali rozmawiając. Tommy poszedł do baru i po kilku minutach wrócił z kuflem piwa i obaj z Biffem siedli razem z nią. Rozmawiała z nimi, ale była napięta i drżały jej kąciki ust. Kiedy kufel był prawie pusty, nagle zjawił się Lanny, niosący szklaneczkę — jej Canadian Club. Popatrzył zimno na swoich kolegów, potem na nią, stuknął szklaneczką w blat stawiając ją przed Mirą i sztywnym krokiem zawrócił do baru. Biff i Tommy popatrzyli pytająco na siebie, a potem na nią; wszyscy troje wzruszyli ramionami. Zaczęli rozmawiać.

W Mirze wszystko się trzęsło. Czuła gniew, ale jeszcze bardziej była zażenowana, wyprowadzona z równowagi, a nawet przestraszona. Po co do niej zadzwonił? Czy miał zamiar ignorować ją przez cały wieczór? Zgnębiona, przypomniała sobie inne wieczory, kiedy właśnie tak robił, ale wtedy była z nimi grupa znajomych. Nade wszystko jednak czuła się poniżona i to jej dodało sił. Do diabła z nim. Będzie się zachowywała, jakby jej to nie obchodziło. Będzie udawała, że się bawi. Powinna się bawić. Ożywiła się bardzo, a koledzy również byli w świetnych humorach.

Przyłączyli się do nich inni. Biff przyniósł kolejny kufel piwa i następną Canadian dla Miry. Była wzruszona. Biff nie ma pieniędzy. Uśmiechnęła się do niego, a Biff aż pojaśniał. Zawsze ją traktował, jakby była krucha i niewinna; dodawał jej ducha, krążył wokół niej, osłaniał, ale nigdy nie rościł sobie pretensji do czegoś więcej. Mirę wzruszało, że Biff ma zapadłe policzki, że mankiety jego marynarki są wytarte. Miała ochotę dać mu coś od siebie. Wiedziała, że on nigdy nie zbliży się do niej. Może dlatego, że kulał: był w college'u dzięki stypendium, przyznawanemu kalekim dzieciom z ubogich rodzin. Biff był po heinemedinie. Przy całej swojej inteligencji i atrakcyjności — a byłby naprawdę atrakcyjny, gdyby mógł jeść tyle, ile trzeba — nigdy pierwszy nie robił kroku w stronę kobiety. Ponieważ czuła się z nim bezpiecznie, mogłaby pozwolić sobie na to, żeby go kochać. Uśmiechnęli się do siebie, odsłaniając w tym uśmiechu swoje uczucia. Tommy'emu i Biffowi iskrzyły się

do niej oczy. Śpiewali teraz nad trzecim czy czwartym kuflem piwa, a Mira wypiła już trzecią Canadian.

I już dłużej nie musiała udawać: po prostu bawiła się. Bawiła się lepiej niż wtedy, kiedy Lanny bywał obok niej. Przy nim czuła się, jakby była osobno, jakby została wyłączona z zabawy i powinna siedzieć na krześle, pod ścianą i z omdlewającym uśmiechem patrzeć, jak mężczyźni przy stole jedzą i piją. To seks, pomyślała, tak komplikuje sprawy. Z tymi chłopcami to się nie zdarzy, z nimi mogła się przyjaźnić i bawić. Byli jej kompanami, jej braćmi, kochała ich wszystkich. Chwycili się za ręce wokół stołu i śpiewali „Piosenkę Kubusia Puchatka".

Lanny nie wracał. Ktoś włączył grającą szafę i Tommy poprosił ją do tańca. Zgodziła się: puszczono starą płytę Glenna Millera, lubiła ją. Bawili się dalej. Włączyli *Sentimental Journey*, *String of Pearls*, *Baby, It's Cold Outside*. Nadal tańczyła. Kupili piwo i czwarta Canadian z topniejącym lodem, oszroniona, wylądowała na stole. Przychodzili nowi ludzie, nie znała ich dobrze, ale chodzili z nią na zajęcia i wiedzieli, jak ma na imię. Puszczano teraz Stana Kentona; muzyka wydawała się głośniejsza, dziksza, czuła ją w głowie. Tańcząc zauważyła, że tu, w głębi, za barem nie ma więcej dziewczyn, że tylko ona tańczy i że faceci stoją dookoła, jakby wyczekiwali w ogonku. Ale wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, bo — jak rozumowała — chodzi o kolejkę do tańca.

Lindy* jest męskiem tańcem. Mężczyzna obraca i miota kobietą po parkiecie, a sam stoi. Musiało to być wymyślone dla mężczyzn, którzy nie potrafią tańczyć.

Wszystko wokół wirowało i Mira była oszołomiona, ale strasznie jej się to podobało. Ona sama też kołysała się i tańczyła, w głowie jej łomotało, a świat zewnętrzny zniknął, już nie musiała myśleć o Lannym. Była ruchem i muzyką, nie musiała nawet zajmować się swoim partnerem, nie bardzo nawet wiedziała, kto nim był. Była samym ruchem, wirowaniem w wielkiej sali balowej.

Kiedy piosenka się skończyła, niespodziewanie wyrósł koło niej Biff i wziął ją za łokieć. Szepnął do ucha:

— Będzie lepiej, jak już pójdziesz.

Odwróciła się do niego obruszona.

— Dlaczego? — spytała.

— Mira — powiedział naglące — chodźmy.

---

* Lindy — taniec z lat pięćdziesiątych, spokojniejszy i wolniejszy od rocka.

— Muszę zaczekać na Lanny'ego.

— Mira — mówił cicho, ale tonem prawie zdesperowanym.

Była tym zaskoczona.

— Zaufaj mi — szepnął. Zaufała i potulnie pozwoliła przeprowadzić się przez tłum. Wyszli tylnymi drzwiami. Przystanęli na chwilę, wtedy powiedział szybko: — Chodźmy na górę.

Na górze było mieszkanie Biffa, Lanny'ego i dwóch innych chłopaków. Bywała tam na wielu przyjęciach i często to właśnie Biff, jeśli Lanny się upił, odwoził ją do domu. Była więc zupełnie spokojna. Na powietrzu poczuła, jak bardzo jest pijana, cztery szklaneczki whisky to było dużo więcej, niż zazwyczaj mogła wypić, i kiedy weszli na górę, padła na kanapę.

— Tu nie — powiedział Biff i wskazał sypialnię.

Od razu go usłuchała, a on pomógł jej wstać i poprowadził łagodnie do pokoju Lanny'ego. Delikatnie pomógł jej ułożyć się w łóżku, a kiedy już leżała patrząc na wirujące ściany, okrył ją kocem, wyszedł i zamknął drzwi. Zdawało jej się, że słyszy dźwięk klucza, ale czuła się tak podle, że od razu zasnęła.

Po jakimś czasie ocknęła się, stopniowo, w zdziwieniu dryfując od snu do jawy. Wydawało się jej, że słyszy hałas, wrzaski, razy, kłótnie. I to coraz głośniejsze. Próbowała usiąść. Pokój wciąż wirował, więc na wpół siedziała, podpierając się ręką. Słuchała, usiłując pojąć, co się stało. Wydawało się, że hałasy zbliżają się do sypialni. Rozległy się łomoty, trzaski, wyglądało to na bójkę. Zerwała się i podbiegła do drzwi. Były zamknięte. Klapnęła z powrotem na łóżko i siedziała na nim boso, otulona kocem. Hałasy przycichły. Kilka razy trzasnęły drzwi. Potem cisza. Znowu chciała się podnieść, zamierzała zastukać, żeby Biff ją wypuścił. Wtedy nagle drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że prawie frunęły, do sypialni wdarło się oślepiające światło i jakaś postać stanęła w wejściu.

— Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, dziwko! — wrzasnął Lanny.

Zamrugała oczami. Lanny zatrzasnął drzwi. Siedziała na łóżku, nadal mrugając.

Znów trzaskały drzwi, potem zapanowała cisza, po czym drzwi otworzyły się znowu. Wszedł Biff i włączył przyćmioną lampę na biurku. Popatrzyła na niego. Podszedł i usiadł koło niej na łóżku.

— Co się stało?

Jego głos był słaby, jakby należał do kogoś innego. Mówił coś i mówił, ale niczego nie mogła zrozumieć. Zadawała pytania, ale Biff się wykręcał od odpowiedzi. Przypierała go do muru, wreszcie zrozumiała. Ten taniec — powiedział — i to, że Lanny zostawił ją samą. To wszystko wina Lanny'ego, sukinsyna. Więc ci faceci odnieśli takie fałszywe wrażenie. To niej jej wina. Oni jej

nie znają tak jak Biff, nie mają pojęcia o jej niewinności, jej czystości, jak to określił. Więc...

— Oni wszyscy? — spytała przerażona.

Kiwnął głową ponuro.

W głowie jej łomotało.

— A jak by to mieli zrobić? Po kolei?

Machnął ręką z obrzydzeniem. Dotknęła jego ramienia.

— Biff, biłeś się z nimi wszystkimi? Och, Biff!

Był wątły, ważył mniej niż ona.

— Okay. To nie była prawdziwa walka, trochę popychania i krzyków. Nikomu nic się nie stało. — Wstał. — Zawiozę cię do domu. Mam kluczyki do samochodu Lanny'ego.

Bardzo się starał oszczędzić jej ohydy tego zdarzenia, jakby nie wiedzieć było ładniej niż wiedzieć. Ale nie było sposobu, żeby jej tego oszczędzić. Wiózł ją do domu w przesyconej sympatią ciszy, bo chociaż była nieskończenie wdzięczna za to, co zrobił, nie mogła z nim rozmawiać. Dziękowała mu, monotonnie, w kółko, ale nic więcej nie mogła powiedzieć. Poszła do swojego pokoju, położyła się do łóżka i natychmiast zapadła w głęboki sen. Spała przez czternaście godzin. Następnego dnia w ogóle nie wstała. Powiedziała matce, że źle się czuje. Leżała całą niedzielę.

13

Była załamana. To właśnie było to, wszystkie te dziwne sprawy, o których ją pouczano. Wszystko znalazło się na swoim miejscu, wszystko nabrało znaczenia. Ale to „wszystko" ją przerastało. Przecież inne dziewczyny też chodziły do barów, inne też tańczyły. Różnica polegała na tym, jak się okazało, że ona była sama. Jeśli kobieta nie była ostemplowana jako własność mężczyzny, to widziano w niej sukę w rui i mężczyźni mogli ją atakować, pojedynczo czy stadem. To, że kobieta nie może się zjawić w miejscu publicznym, bawić się, tańczyć nie zawracając sobie głowy tym, co mężczyźni pomyślą, albo, co gorsza, zrobią, wydawało się jej tak niesprawiedliwe, że nie mogła się z tym pogodzić.

Jest kobietą i już to samo wystarczyło, żeby jej odmówić wolności, choć w podręcznikach historii stwarza się pozory, że od czasu sufrażystek mamy już

równość, a kobietom stopy krępowano tylko w zamierzchłych czasach i w miejscach tak odległych jak Chiny. Przecież ona nie jest wolnym człowiekiem — z samej zasady. Nie mogła wyjść sama w nocy. Kiedy czuła się samotna, nie mogła pójść do pobliskiej tawerny i napić się. Dwa razy pojechała pociągiem na wycieczkę do muzeów w Nowym Jorku i mężczyźni ciągle ją zaczepiali. Nie mogła wyjść bez eskorty, a jeśli eskorta ją gdzieś zostawiła, była bezradna. Nie umiała bronić się sama, była uzależniona od mężczyzn. Nawet wątły, kulejący Biff poradził sobie w takiej sytuacji lepiej od niej. Gdyby ci faceci ją wtedy dopadli, nic by nie pomogło, ani wściekłość, ani wyniosłość, ani odwaga.

Nigdy nie będzie wolna, nigdy. Nigdy. I tak będzie zawsze. Pomyślała o przyjaciółkach matki i nagle je zrozumiała. Gdziekolwiek poszła i cokolwiek zrobiła, zawsze musiała się przejmować tym, co jakiś mężczyzna pomyśli, jak na nią spojrzy i co może zrobić. Pewnego dnia, miesiąc temu, w windzie, kiedy jechała do dentysty, słyszała, jak starsza, brzydka kobieta z ufarbowanymi na rudo włosami i przygarbionymi plecami, opowiadała drugiej, tłustej, po pięćdziesiątce, o gwałcie. Paplały z przejęciem o zamkach do drzwi i okien, i popatrywały na nią, jakby ją chciały włączyć do rozmowy. Patrzyła w bok, pełna pogardy. Kto by chciał je gwałcić? Pobożne życzenia, myślała. A jednak kilka dni później w gazecie znalazła wzmiankę o osiemdziesięcioletniej kobiecie zgwałconej i zabitej we własnym mieszkaniu.

Myślała, co by się zdarzyło, gdyby Biffa tam nie było, i czarna mgła pełna zgrozy, krwi, profanacji zaćmiła jej umysł. To nie dziewictwo chciałaby ocalić, ale prawo do siebie samej, do swojego ciała i umysłu. Straszne, to byłoby straszne, a jej ukochany Lanny bez wątpienia nazwałby ją dziwką i powiedziałby, że dostała to, na co zasłużyła. Po prostu wykreśliłby ją z listy kobiet, które należy traktować z szacunkiem. Tak się sprawy mają. I żeby nie wiadomo jak wysoko trzymała głowę, żeby sobie chodziła samotna i wyniosła, tak już będzie. Śmieszne byłoby mówienie o niesprawiedliwości, nie byłoby po co protestować. Wiedziała z własnych doświadczeń, że kiedy mówiła o swobodach kobiet, to mężczyźni traktowali to zawsze jako zachętę.

Mira się wycofała. Była pokonana. Resztą dumy ukrywała, iż czuje się pokonana. Chodziła samotnie po campusie; głowa wysoko, lodowaty wyraz twarzy. W kafeterii siadała sama albo z Biffem, albo z którąś z dziewcząt z klasy. Odwracała oczy od każdego mężczyzny, który przechodził koło niej,

i nigdy się do nich nie uśmiechała, nawet gdy ją witali. Nie była pewna, który z nich był tamtej nocy, wszystkie twarze wydawały się znajome, a powietrze było gęste od dymu. Jeśli przypadkiem zobaczyła Lanny'ego, szła inną drogą.

Pod koniec roku szkolnego spotkała Norma. Był synem przyjaciół i spotkała go na rodzinnym obiedzie. Był delikatny i inteligentny, traktował ją z szacunkiem i nigdy nie nalegał w sprawach seksu. Jej marzenia o własnym wyborze sposobu życia prysnęły. Jeśli będzie żyła samotnie, zawsze jest ryzyko spotkania jakiejś dzikiej hordy. Pomyślała z goryczą, że nie jest sprawiedliwa dla tak zwanych dzikich, gdyż oni zapewne tak się nie zachowują. Była zgorzkniała. Przegrała życie. Będzie żyć półżyciem, jak pozostałe kobiety. Nie miała wyboru, mogła się tylko chronić przed dzikim światem, którego nie rozumiała, bo będąc kobietą nie potrafiła się samotnie z nim ułożyć. Małżeństwo albo klasztor. Wycofała się w to pierwsze, jakby to było to drugie, i szlochała na swoim ślubie. Wiedziała, że rezygnuje ze świata, świata, który rok temu migotał od radości i uroków. Pouczono ją, gdzie jest jej miejsce. Dowiedziała się, gdzie są granice jej odwagi. Została pokonana. Poświęci siebie dla Norma, wczołga się w jego życie jak do fortecy. To prawda, co mówią: miejsce kobiety jest w domu. Kiedy Biff usłyszał, że właśnie wyszła za mąż, podszedł do niej w kafeterii i pogratulował w obecności grupy młodych mężczyzn.

— Naprawdę gratuluję Normowi — powiedział głośno. — Dostała mu się dziewica, jestem tego pewien.

W jakiś sposób miało to ją oczyścić, a poza tym miał to być dla niej komplement. Właśnie wtedy poczuła, że Biff też jest bardzo daleki i obcy. Myślą to czy myślą owo, ale istota tego myślenia jest zawsze taka sama.

14

Jakiś zmysł dramatyczny, wywodzący się zapewne z czytanych sztuk albo z kobiecych Bildungsromane, które zawsze kończą się małżeństwem bohaterki, sprawia, że chciałabym zatrzymać się w tym miejscu, zrobić jakąś formalną przerwę, coś jak spuszczenie kurtyny. Małżeństwo powinno oznaczać wielką zmianę, nowe życie. Ale dla Miry było ono nie tyle początkiem, ile kontynuacją. Chociaż okoliczności zewnętrzne się zmieniły, wewnętrzne, w dużym stopniu, zostały te same.

Och, Mira była gotowa opuścić dom rodzinny i zgromadzić te drobiazgi — ręczniki, szmatki, zasłony — które mogły przekształcić ich umeblowany pokój w jej własny „dom", i cieszyła się tym. Wynajęli mały umeblowany kąt niedaleko Coburga, gdzie Norm studiował medycynę. Rzuciła studia z niewielkim żalem. Nie chciała tam wracać, nie chciała już oglądać tych twarzy. Uważała, że i tak dużo czytała sama, więc może to robić równie dobrze nie chodząc do college'u. Norm skończy medycynę, zacznie praktykę z interny, a ona będzie pracować, żeby mu pomóc. Kiedy on skończy studia, przyszłość będzie bezpieczna. Wszystko przemyśleli.

Miodowy miesiąc spędzili w domku rodziców Norma w New Hampshire. Wrócili — on usiadł do książek, ona próbowała znaleźć pracę. Szło jej ciężko, bo nie umiała prowadzić samochodu. Poprosiła Norma, żeby ją nauczył. Nie był chętny. Po pierwsze sam potrzebował samochodu przez większą część tygodnia, po drugie ona nie miała zamiłowania do techniki i byłaby marnym kierowcą. Objął ją: — Nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało. — Coś w niej jęknęło, ale czuła się tak otoczona jego miłością i tak była za nią wdzięczna, że nie próbowała wyjaśniać, co to było. Jeżdżąc autobusem lub błagając matkę, żeby ją podwiozła, znalazła w końcu pracę jako maszynistka biurowa za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Mogli z tego żyć, ale nie najlepiej; zdecydowała się poszukać pracy w Nowym Jorku i dojeżdżać z New Jersey. Norm był przerażony. To ogromne miasto! Takie niebezpieczne! Komunikacja pożre jedną trzecią tego, co zarobi. Będzie musiała wstawać wcześniej, a wracać później. No i mogą tam być mężczyźni...

Mira nigdy nie opowiedziała Normowi o nocy u Kelleya, ale albo miał podobne obawy, albo wyczuł, że ona je ma, bo nie wypowiedzianej groźby zawartej w tym słowie używał przez wszystkie następne lata — właściwie aż do chwili, kiedy to już nie miało znaczenia. Może gdyby tego nie robił, Mira próbowałaby przezwyciężyć swoje lęki. Uzbrojona w tytuł „pani" i majątek, który stanowił jej mężczyzna, czuła się w świecie pewniej. Mężczyźni nie są tacy chętni do ataku, jeśli wiedzą, że jest ktoś, kto cię chroni.

Nie upierała się przy pomyśle z miastem, przyjęła posadę maszynistki. Norm dostał pracę w niepełnym wymiarze czasu, często z wyprzedzeniem czytał teksty, które miał potem przerabiać, i tak wiedli wspólne życie.

Miodowy miesiąc sprawił jej radość. Nie do wiary, jak to wspaniale całować się i obejmować bez lęku. Norm używał kondomów, ale fakt, że jest mężatką, sprawił, że groźba była mniej odczuwalna. Wstydziła się nagości. Właściwie

Norm też się wstydził. W tej wstydliwości oboje chichotali i rozkoszowali się przyjemnością. Jedyny problem był w tym, że Mira nie osiągała orgazmu.

Po miesiącu uznała, że jest oziębła. Norm powiedział, że to śmieszne, że jest tylko niedoświadczona. Ma żonatych przyjaciół i wie, że to z czasem przychodzi. Spytała go nieśmiało, czy nie mógłby trochę przeciągnąć, czasem ona czuje, że jest już na krawędzi, ale on wtedy kończy. Odpowiedział, że żaden zdrowy mężczyzna nie może i nie powinien przeciągać. Spytała, jeszcze bardziej nieśmiało, czy mogą spróbować drugi raz. Powiedział, że to by było dla niego niezdrowe i prawdopodobnie niemożliwe. A że był studentem medycyny, wierzyła mu. Zadowoliła się więc tym, czym mogła, i czekała, aż zaśnie — zawsze zasypiał zaraz po stosunku — a potem masturbowała się aż do orgazmu.

Weszli więc w życie. Przyjmowali przyjaciół przy różnych okazjach; uczyła się gotować. Zawsze razem z nią wykonywał ciężką pracę przy praniu, a w piątek zabierał zakupy spożywcze ze sklepu. Jeśli odpowiednio długo go nękała, w sobotę pomagał sprzątać mieszkanie. Bywało, że czuła się bardzo dorosła, powiedzmy, kiedy podawała gościom alkohol, albo kiedy robiła makijaż, wkładała biżuterię i wychodziła wieczorem z mężem. Ale najczęściej czuła się jak dziecko, które tłucze się i obija o ściany obcego domu. Jej praca była absurdalnie nudna, długie przejazdy autobusem z innymi szarymi, zmęczonymi ludźmi sprawiały, że czuła się brudna i uboga. Wieczorem Norm włączał telewizor (jedyny duży zakup, jaki zrobili z pieniędzy, które dostali w prezencie ślubnym), a ponieważ mieli tylko kuchnię i pokój, który był i salonem, i sypialnią, nie miała wyboru, musiała słuchać. Próbowała czytać, ale ciągle się rozpraszała. Ekran jest wymagający. Czuła, że to życie jest ohydnie puste. Perswadowała sobie, że jeśli ma ochotę naprawdę coś postudiować czy poczytać, a nie robi tego — to tylko jej wina. Ale zaraz mówiła sobie, że jest strasznie zmęczona po ośmiu godzinach pracy i dwóch godzinach jazdy autobusem, i po zrobieniu kolacji, i zmyciu naczyń — bo tych zajęć Norm nie tykał. Poza tym zawsze wieczorem włączał telewizor. Dobrze, argumentowała, kiedy Norm zacznie chodzić na zajęcia, będzie lepiej, wieczorami będzie musiał się uczyć. Zbliżały się jej dwudzieste urodziny. Patrz, mówiło jej drugie „ja", czego dokonał Keats mając dwadzieścia lat. Wreszcie cała jej istota buntowała się i odsuwała to wszystko od siebie: — Och, nie nudź mnie! Robię co mogę!

Jakąś częścią siebie czuła, że to jest sposób na przetrwanie, jedyny możliwy. Brnęła przez te jałowe dni wykonując swoje obowiązki, w stronę jakiegoś celu, którego nie mogła sprecyzować. Słowo „swoboda" wypadło z jej słownika, zastąpiło je słowo „dojrzałość". Niewyraźnie czuła, że dojrzałość to wiedza

o tym, jak przetrwać. Była samotna, jak zawsze, z wyjątkiem tych późnych wieczorów, kiedy, przytuleni, prowadzili poważne rozmowy. Pewnego wieczoru zastanawiała się nad tym, czego naprawdę pragnie: wrócić do nauki, zrobić Philosophy Doctor*, i potem uczyć. Norm był przerażony. Wymieniał różne przeszkody, trudności finansowe, powiedział, że to ją wyczerpie — będzie musiała robić wszystko, a jeszcze gotować i sprzątać, bo kiedy on wróci na uczelnię, nie będzie już miał czasu, żeby jej pomóc. Odpowiedziała, że mogą dzielić się pracą. Przypomniał jej, że poza wszystkim, to on ma zarabiać na życie; nie naciskał, nie był stanowczy, nie żądał. Stwierdzał tylko i pytał, czy nie ma racji. Z niezadowoleniem i zakłopotaniem, opornie — przyznała mu rację. W końcu to było to, czego chciała: Norm był odpowiedzialny, w przeciwieństwie do Lanny'ego. Nie poszedłby z kolegami, podczas gdy ona, przy krzykach dziecka, na czworakach szorowałaby podłogę. Medycyna jest trudna, wymagająca — dodał. Upierała się, że sobie poradzi, może robić to, czego on, jak powiedział, nie może; studiować i prowadzić dom. Wyciągnął najcięższy argument: tam będą faceci, i to może okazać się bardzo przykre dla niej, kiedy profesorowie będą ją przypierać, żeby tylkiem opłaciła swoją drogę do stopnia naukowego. Tym razem szył za grubymi nićmi. Zastanowiła się.

— Czasami myślę, że chciałbyś mnie zamknąć w takim klasztorze, Norm, w którym tylko ty mógłbyś mnie odwiedzać.

— To prawda. Chciałbym — powiedział poważnie.

Odwróciła się, a on zasnął. Po trzech miesiącach ta opiekuńczość, której szukała, zaczęła być presją. Więc to było to, czego chciała, czy nie? Gdyby nie czuła się taka nieszczęśliwa, roześmiałaby się.

15

Przetrwanie jest sztuką. Wymaga przyćmienia umysłu i zmysłów, dostrojenia się do czekania, bez sprecyzowania, na co właściwie się czeka. Mira niby czekała na „koniec", na koniec studiów Norma, na zakończenie internistycznej praktyki, ale to było takie odległe, a te pięć lat nudy, w której żyła, wydawały jej się tak nieznośne, że wolała w ogóle o tym nie myśleć.

---

* Philosophy Doctor (Ph.D.) — wyższy tytuł naukowy, odpowiada mniej więcej naszemu doktoratowi.

Norm wrócił na studia, jak oczekiwała, i nie oglądał już telewizji. Ale Mira stwierdziła, że nie może się skoncentrować, chociaż telewizor jest wyłączony. Podejrzewała, że problem nie leży tylko w zmęczeniu, bo kiedy brała się za poważną książkę, taką, która pobudzała ją do myślenia, to myślała. A to było nie do zniesienia, bo myśląc w ogóle, myśli się o własnym życiu. Czytała w nocy, mnóstwo czytała. Tak jak w okresie wczesnego dojrzewania. Czytała byle co: opowieści fantastyczne, lekkie społeczne satyry, jak O'Hary, Marquanda i Maughama. Nie była w stanie wziąć się za coś poważniejszego.

O nic Norma nie obwiniała. Dbała o niego, martwiła się o niego, gotowała to, co lubił, i o nic nie prosiła. To nie Norma nienawidziła, ale swojego życia. A jaką inną treść może mieć jej życie, skoro ona egzystuje tak, jak egzystuje? Norm często był rozdrażniony, ale utrzymywał, że ją kocha i że jest z nią szczęśliwy. To tej głupiej uczelni nienawidził, tych głupich, skrupulanckich profesorów. Nie szło mu najlepiej, pierwszy rok skończył z miernymi wynikami. A ma marne stopnie, bo jest przygnębiony z jej powodu. Ponieważ Mira była w ciąży.

W maju straciła okres. Zdenerwowała się, bo jej organizm działał bardzo regularnie, ale też dlatego, że po jej pierwszych, nieszczęsnych zmaganiach z diafragmą, Norm nalegał, żeby to robili po staremu. Nie znosił, gdy ona siedziała przez dziesięć minut w łazience, kiedy on był taki rozpalony. Podejrzewała, że chciał sam kontrolować sytuację. Denerwowało ją ryzyko, kiedy używali tylko kondomów, a czasami, jeśli byli bardzo podnieceni, Norm w ogóle niczego nie używał; wycofywał się przed wytryskiem. Czuła, że to ryzykowne, ale zapewniał ją, że wszystko jest w porządku.

Po latach dziwiło ją, że zawierzyła mu w tych sprawach. To fakt, że nie cierpiała używać diafragmy. W ogóle przestała lubić seks, bo Norm tylko ją rozbudzał i zostawiał niezaspokojoną. Wtedy płakała masturbując się. Patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że oddała mu swoje życie, tak jak przedtem, z konieczności, oddała je rodzicom. Po prostu przedłużyła swoje dzieciństwo. A Norm, chociaż był o siedem lat starszy, chociaż służył podczas wojny w armii i miał kilka przygód z kobietami, nie był jednak na tyle dorosły, żeby mieć dwudziestoletnie dziecko. A może w jakimś ciemnym, ukrytym zakamarku jej umysłu drzemało pragnienie, żeby mieć dziecko, może na to czekała? Może to, co nazywała dojrzałością, wiązało się z tym, żeby mieć dziecko i umieć sobie z tym poradzić? Może.

Ale na razie spadło to na nią jak nieszczęście. Jak będą żyć? Blada jak zmora, wychudła, poszła do ginekologa. Wróciła do domu dopiero wieczorem. Norm

uczył się do ważnego egzaminu. Była zmordowana pracą, przejazdami, czekaniem u ginekologa. Myślała, idąc od przystanku autobusowego, że może Norm przygotował coś na kolację. Ale kiedy weszła, uczył się, przegryzając krakersy z serem. Był zirytowany, że tak późno wróciła, chociaż wiedział, gdzie i po co poszła. Wszedłszy do mieszkania rzuciła mu spojrzenie, a on wlepił w nią oczy w milczeniu. Przez trzy tygodnie prawie nie rozmawiali — nie było potrzeby mówić.

Nagle cisnął książkę przez cały pokój.

— Zrujnowałaś moje życie, rozumiesz?

Usiadła na brzegu kiwającego się krzesła.

— *Ja* zrujnowałam *twoje* życie?

— Będę musiał rzucić studia, i z czego będziemy potem żyli? — Zapalił papierosa z nerwową łapczywością. — Jak mam się uczyć do egzaminu, kiedy coś takiego usłyszałem. A jeśli obleję, to mnie wyrzucą. Rozumiesz to?!

Oparła się, przymknęła oczy, obojętna. Chciała mu wskazać, że to zdanie jest nielogiczne. Chociaż powiedzieć, że jego atak jest niesprawiedliwy. Ale zabolało ją, że Norm czuje się w prawie traktować ją jak niegrzeczne dziecko. Przecież upoważnia go do tego otaczająca rzeczywistość, a z tą potęgą nie sposób walczyć. Spróbowała jednak. Pochyliła się do przodu.

— Czy ja cię ciągnę do łóżka? Powiedziałeś, że twój sposób jest bezpieczny. Ty to powiedziałeś, ty, student medycyny!

— Bo jest!

— Taaa. Właśnie dlatego jestem w ciąży.

— Jest bezpieczny, mówię ci.

Spojrzała na niego. Twarz miał prawie siną, zaciśnięte usta tworzyły surową linię. Głos jej zadrżał:

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś ojcem tego dziecka?

Błysnął spojrzeniem pełnym gorzkiej nienawiści.

— Skąd mam wiedzieć? Powiedziałaś, że nie spałaś nigdy z nikim oprócz mnie, ale jak mam to stwierdzić? Było dość gadania o tobie i o Lannym. Wszyscy o tobie mówili. Prowadziłaś się wtedy dość swobodnie, czemu teraz miałoby być inaczej?

Odchyliła się do tyłu. Mówiła Normowi, że boi się seksu, że boi się mężczyzn, że ta strona życia jest dla niej niezrozumiała. On czule słuchał, gładził jej twarz, przytulał. Myślała, że rozumie, tym bardziej że pomimo tych historyjek o przygodach z kobietami w wojsku, sam był podobnie wstydliwy, niepewny i nieśmiały. Wydawało się jej, że już się wymknęła i schroniła, tymczasem sama

wpuściła wroga do swojego domu, dała mu dostęp do swojego ciała. Norm myślał podobnie jak tamci, podobnie jak oni wierzył, że ma przyrodzone prawo do niej, bo on jest mężczyzną, a ona kobietą. Podobnie jak tamci wierzył w takie rzeczy jak czystość i dziewictwo albo zepsucie i kurestwo kobiet. A przecież był delikatny i pełen szacunku, był najlepszy między nimi. Jeśli jest taki jak oni, to nie ma nadziei. Nie warto żyć w takim świecie. Oparła się mocniej i zamknęła oczy, kiwała się lekko na krześle. Zaszyła się w spokojnym, ciemniejącym miejscu umysłu. Na to, żeby umrzeć, jest wiele sposobów, nie musi teraz o tym myśleć. Jedyne, co może zrobić, to znaleźć rozwiązanie — i zrobi to. Umrze — i to wszystko się skończy. Odejdzie. Nie będzie już musiała czuć tego, co czuła przez lata, co teraz czuje, tylko jeszcze mocniej. Konwulsyjny szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Bolało ją serce, żołądek, mózg. To była eksplozja palącego ognia łez, piekących jak otchłań piekła. Nie miała nic do powiedzenia. On i tak nie zrozumie. Nie może już zawrócić i wygląda na to, że jest sama, że tylko ona czuje tak, jak czuje. Tak musi być, bo co ma zrobić — prawda jest po jej stronie, ale ona nie ma jak jej wypowiedzieć. Nieważne. Nic nie jest ważne.

Po pewnym czasie Norm podszedł do niej. Ukląkł obok jej krzesła.

— Kochanie — powiedział łagodnie. — Kochanie?

Trzęsła się od szlochu.

Położył rękę na jej ramieniu, strząsnęła ją.

— Odejdź ode mnie! — powiedziała. — Zostaw mnie w spokoju.

Przysunął stołeczek i usiadł koło niej, objął rękami jej nogi, położył głowę na jej podołku.

— Kochanie, przepraszam. To dlatego, że nie wiem, jak skończę studia. Może moi nam pomogą.

Wiedziała, że mówi prawdę. Był tylko przestraszony, tak samo jak ona. Ale sobie przyznał prawo do tego, żeby na nią napadać. Była taka zdenerwowana, kiedy usłyszała tę wiadomość, a jednak nie przyszłoby jej do głowy go oskarżać. Dla niej to pułapka, w której znaleźli się razem. Położyła mu rękę na głowie. To nie jego wina. To dlatego, że wszystko wokół jest przesiąknięte tym jadem. Nieważne. Umrze i wyzwoli się od tego. Kiedy go dotknęła, zaczął płakać. Zsunęła nogi ciaśniej, on łkał, usprawiedliwiał się. On tak nie myśli, nie wie, co w niego wstąpiło, to było infantylne, jest mu przykro. Trzymał ją mocno, płakał, a ona gładziła go po głowie. Uspokoił się, patrzył na nią, gładził jej policzki, zaczął nawet żartować, ścierał jej z twarzy łzy, przytulił głowę do jej piersi. Szloch aż nią wstrząsał, a on, zdumiony, tulił ją do siebie i nie wiedząc, o co chodzi, mówił: — Przepraszam, kochanie, Boże, przepraszam — myśląc,

jak sądziła Mira, że ona płacze z powodu jego podejrzeń o niewierność — nic nie wiedział, nigdy nic nie wiedział, nigdy nic nie rozumiał. W końcu, kiedy jej szloch przycichł i zelżał, uśmiechnął się do niej i spytał, czy nie jest głodna. Zrozumiała. Wstała i zabrała się za obiad. W styczniu urodziła dziecko, a półtora roku potem drugie. Rodzice Norma pożyczyli im pieniądze: osiem tysięcy dolarów, które miał spłacić po rozpoczęciu praktyki. Po tym wszystkim zaczęła używać nowej diafragmy. Ale wtedy była już inną osobą.

16

Virginia Woolf, którą czczę, narzeka na Arnolda Bennetta. W swoim manifeście literackim atakuje jego sposób pisania powieści. Uważa, że Bennett zbyt dużo uwagi poświęca faktom i liczbom, brudnym dolarom i funtom, zewnętrznym elementom, które nie są najściślej powiązane z żywą postacią. Istota rzeczy zaznacza się — tak sądzi Virginia Woolf — w akcencie postaci, widać ją w noszonym przez dziesięć lat zimowym płaszczu, w sznurkowej torbie załadowanej jarzynami i makaronem, słychać ją w westchnieniu, jest w ciężkim, znużonym zejściu ze stopni pociągu i zanurzeniu się w mroczne światła Liverpoolu. Niezbyt obchodzi mnie Bennett, natomiast Virginię Woolf uwielbiam, ale sądzę, że te brudne funty bardziej wiążą się z jej Rhodą i Bernardem, niż chciałaby to przyznać. Ach, przecież ona o tym wiedziała. Rozumiała, co to znaczy potrzebować pięciuset funtów rocznie i osobnego miejsca dla siebie. Wyobrażała sobie siostrę Szekspira i wybrała dla niej dramatyczny, apokaliptyczny koniec, ale ja wiem, że było inaczej. Widzisz, nie trzeba zaraz apokalipsy. Wiem, wiele Chinek wydanych za mężczyzn, do których czuły odrazę, żyjących życiem, którym gardziły, popełniało samobójstwo rzucając się do studni. Nie mówię, że to się nie zdarza. Mówię tylko, że na co dzień bywa inaczej. Bo gdyby to się zdarzało na co dzień, nie mielibyśmy problemu przeludnienia. A poza tym, jest tyle prostszych sposobów, żeby zniszczyć kobietę. Nie trzeba jej zaraz gwałcić czy zabijać, nie trzeba jej nawet bić. Wystarczy się z nią ożenić. A nawet i to nie jest niezbędne. Wystarczy zatrudnić ją we własnym biurze za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Siostra Szekspira — tak sądziła Woolf — podążyła za bratem do Londynu. Ale

nigdy tam nie dotarła. Pierwszej nocy, którą spędziła w drodze, została zgwałcona i krwawiąc, poobijana, dowlokła się do pobliskiej wsi, szukając schronienia. Gdy uświadomiła sobie, że jest w ciąży, jęła szukać sposobu na przetrwanie dla siebie i dla dziecka. Znalazła chłopa, któremu bardzo się spodobała, uznała, że może mu zaufać i poszła z nim do łóżka. Po jakimś czasie powiadomiła go, że jest w ciąży, a on — zgodnie z poczuciem obowiązku — ożenił się z nią. Ponieważ dziecko urodziło się przedwcześnie, nabrał podejrzeń, kłócili się, bił ją, ale wreszcie się uspokoił. W gruncie rzeczy był zadowolony, miał wszystkie wygody, a równocześnie coś, czego nie dawała matka, a jeśli już wyprowadzało go z równowagi wrzeszczące dziecko, które — jak podejrzewał — nie jest jego, to ostatecznie czuł się tak samo jak te chłopaki z wiejskiego pubu, z których żaden nie był pewien, czy jest dzieckiem swojego ojca i ojcem swoich dzieci. A siostra Szekspira nauczyła się, jak i inne kobiety, że mężczyzna jest najgorszym wrogiem. Jednocześnie zrozumiała, że nie da rady iść przez życie bez mężczyzny. Wobec tego używała swojego geniuszu, geniuszu, którego mogłaby użyć na tworzenie sztuk i poematów, ale mówionych, nie pisanych. Radziła sobie z mężczyzną językiem: docinała, pochlebiała, nakłaniała, przymilała się, drażniła, uwodziła i sterowała tą kreaturą, której Bóg zechciał dać nad nią władzę, tym zwalistym idiotą, którym pogardzała za tępotę i którego się obawiała, bo mógł jej wyrządzić krzywdę.

To tyle co do naturalnych stosunków między płciami.

Ale widzisz, nie musiał jej bić za dużo, a już na pewno nie musiał jej zabijać: gdyby zabił, pozbawiłby się służącej. Funty i pensy same w sobie są świetną bronią. Są ważne dla mężczyzn, ale jeszcze ważniejsze dla kobiet, bo praca kobiet jest darmowa. Ponieważ od kobiet, nawet niezamężnych, wymaga się wykonywania tej samej pracy, bez względu na ich wykształcenie czy upodobania, i nie wymigają się od tego, jeśli nie dysponują brzęczącą monetą. Lata spędzone na zeskrobywaniu kuchennym nożem kup z pieluch, wyszukiwaniu miejsc, gdzie funt fasoli jest tańszy o dwa centy, na nocnym wstawaniu przy każdym kaszlnięciu, poświęcenie inteligencji na to, by wynaleźć efektywniejszy, mniej czasochłonny sposób prasowania męskich białych koszul, mycia i woskowania podłogi w kuchni lub zajmowanie się domem i dziećmi jednocześnie pracując i oszczędzając pieniądze, chowając je przed pijakiem, żeby móc potem opłacić dzieciom college — to nie tylko absorbuje energię, odwagę i umysł, to może stać się istotą życia.

Może — powiesz smętnie — ale kto by tego chciał? Ale dla większości kobiet brudne prace nie są tłem życia — są jego pierwszym planem.

Mira dwa razy już szła na dno — i znowu ją to spotkało. Ale wtedy zatonęła. Po tylu latach dojrzewania i przygotowań osiągnęła dojrzałość — bo czyż urodzenie dziecka nie jest realizacją dojrzałości? Lecz w tym momencie rozpoczął się upadek. Virginia Woolf dostrzegła to i nieraz obserwowała takie zjawisko — kobiety kurczące się, malejące po ślubie. Ale to, że Mira szła na dno, nawet to, że zatonęła, jest często nazywane zdrowiem psychicznym, które pozwala zaakceptować to, co nieuniknione, czego nie można zmienić. Miała rację, gdy płakała wchodząc do tej bocznej nawy małżeństwa, miała rację, gdy płakała siedząc na tym kiwającym się krześle, kiedy wybierała śmierć.

W naszej kulturze wierzy się, że mocne osobowości mogą pokonać warunki zewnętrzne. Osobiście niezbyt lubię książki Hardy'ego, Dreisera czy Wharton, gdzie świat zewnętrzny jest tak silny, tak przytłaczający, że jednostka nie ma szans. Denerwuje mnie to, bo czuję, że talia kart jest niesprawiedliwie rozdana. I tak jest, oczywiście, ale jeśli tak jest naprawdę, to ja dziękuję za tę grę. Wolę przenieść się do innego stolika, gdzie mogę trwać przy swojej iluzji — że gram tylko przeciw prawdopodobieństwu, i że mam szansę wygrać. W takiej sytuacji, jeśli przegrasz, możesz mieć pretensję tylko do siebie, że jesteś marnym graczem. Wtedy to się nazywa tragiczną pomyłką i — podobnie jak poczucie winy — jest bardzo wygodne. Możesz grać dalej, wierząc, że istnieje właściwa metoda, tylko na razie jej nie znalazłeś.

Ludzie, których szanuję najbardziej — jak Cassirer — twierdzą, że to, co wewnętrzne, pozostaje nie tknięte przez to, co zewnętrzne. Zawsze czytałam, że życie umysłowe jest wartością najwspanialszą i może wynieść ponad poniżenia, których powodem jest ciało. Ale ja nie mam takich doświadczeń. Kiedy twoje ciało zajmuje się kupami i fasolą, twój umysł też się tym zajmuje.

17

Mirze udzieliło się głębokie przekonanie Norma, że dziecko jest wyłącznie jej sprawą. Wiedziała, że, racjonalnie biorąc, to śmieszne — ale zachowanie Norma, który usprawiedliwiał przed rodzicami swoją samowolną żonę, która zrobiła to, co chciała, choć ją ostrzegano, żeby tego nie robiła, który grzecznie tolerował stan Miry, a pod koniec roku, pogodzony ze swoimi marnymi

stopniami, uznał, że *rzeczywiście* nie ona jest temu winna — wszystko to było daleko bardziej skuteczne niż racjonalne argumenty. W końcu to coś rosło w jej ciele. Od tej pory to była, oczywiście, jej sprawa. Była teraz nadwrażliwa, czuła się niczym kropla oleju rozdeptana butem. Spółka dekarska, w której pracowała, nie życzyła sobie, żeby kobiety w ciąży pracowały w biurze, ciąża była w jakiś sposób obsceniczna i powinna być usunięta z widoku publicznego. Resztki dumy Mira wetknęła do pudełeczka z pamiątkami, czyli na odpowiednie miejsce, i zaczęła błagać. Wyjaśniała, że jej mąż jest studentem — studentem *medycyny*. To słowo miało moc magiczną. Łaskawie pozwolili jej pracować do ósmego miesiąca, zaklinali ją tylko, żeby przychodziła schludna, czysta i starannie ubrana.

Przez całą ciążę źle się czuła, ciągle miała nudności i bóle żołądka. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że przyczyna może być nie tylko fizyczna. Dziecko strasznie rozdęło jej nieduże ciało. Jadła przez cały czas, żeby uspokoić żołądek, więc przytyła trzydzieści pięć funtów. Przez ostatnie dwa miesiące, kiedy przestała pracować, trudno jej było utrzymać równowagę, chodzenie stało się wysiłkiem i nawet gdy leżała, nie czuła się dobrze. Przeważnie siadywała w ciemnej salono-sypialni, wielki brzuch podpierała z boku poduszeczkami, stopy kładła na podnóżku, i czytała *Remembrance of Things Past*. Robiła zakupy, sprzątała mieszkanie, gotowała i zanosiła pranie do domowej pralni (nawet jej się nie śniło, że po urodzeniu dziecka to będzie jedna z jej największych przyjemności — bo pozwoli wyjść z domu samej i przebywać tylko w towarzystwie wielkiej, białej, niepłaczącej torby z brudami). Prasowała prześcieradła i koszule Norma, płaciła rachunki, czytała przepisy w gazetach, szukając jakiegoś ciekawego i oryginalnego sposobu przyrządzania niedrogich posiłków. Myśleniem najwyraźniej się nie zajmowała. Nie wiem, jak to jest, kiedy jest się w ciąży z własnej, szczerej chęci. Sądzę, że to zupełnie inne doświadczenie niż to, które przypadło znajomym mi kobietom. Chyba radosne — jest wspólnotą między kobietą i mężczyzną. Ale dla kobiet, które znam, ciąża była okropna. Nie z powodu jakiejś szczególnej bolesności — bo nie jest bolesna, jest tylko uciążliwa. Ciąża cię wymazuje, wykreśla. Już nie jesteś sobą, musisz o sobie zapomnieć. Widzisz zielony trawnik w parku, jest ci gorąco, chciałabyś usiąść na trawie, poturlać się w chłodnej wilgoci — nie możesz, musisz dobrnąć do najbliższej ławki i usiąść na niej ostrożnie. Wszystko jest wysiłkiem — zdjęcie puszki z najwyższej półki jest sporym przedsięwzięciem. Trudno utrzymać równowagę, ale nie wolno ci upaść, bo jesteś odpowiedzialna

za to życie, które jest w tobie. Przez jeden akt przekształciłaś się jakby w pokrowiec, w chodzący, mówiący wehikuł, i jeśli to się stało wbrew twojej woli, jest to straszne.

Ciąża jest długim oczekiwaniem, podczas którego uczysz się, co to znaczy kompletnie stracić kontrolę nad własnym życiem. Nie ma przerw na kawę, nie ma dni, w których możesz odzyskać normalne kształty i samopoczucie, po czym, odświeżona, wrócić do tej harówki. Nie możesz sobie zażyczyć, żeby wyszło na godzinkę to, co cię tak rozdyma, co wali w twój żołądek, aż ci się zdaje, że skóra pęknie. Nawet nie możesz oddać tak, żeby ciebie samej nie zabolało! Twój stan i ty utożsamiacie się: nie jesteś już osobą, jesteś ciążą. Jak żołnierz w okopie, któremu jest źle, i nienawidzi tego żarcia, które mu dają, ale musi tam tkwić przez dziewięć miesięcy. W końcu tęskni do bitwy, chociaż może zostać okaleczony lub zabity. Wyczekujesz nawet bólu porodu, bo to zakończy czekanie.

To przez to poczucie, że nie jest się sobą, oczy kobiet w ciąży często wydają się puste. Nie można się zanurzyć w tym poczuciu, bo jest nie do zniesienia — i nie ma na nie sposobu. Nawet z perspektywy czasu to jest przygnębiające. A poza wszystkim, ciąża to tylko początek. Kiedy się skończy, dopiero poczujesz: dziecko już jest, jest twoje i już przez resztę twojego życia będzie od ciebie wymagać. Reszta życia: masz ją w tym wypuczonym wielkim brzuchu. Z tej perspektywy wygląda to jak nieskończony korowód pieluch, butelek, płaczu i karmienia. Ciebie nie ma, jest czekanie, nie ma przyszłości, jest cierpienie, nie ma nadziei, jest nuda codziennej krzątaniny. Ciąża to największy trening, najskuteczniej dyscyplinujący chwyt w całym ludzkim doświadczeniu. W porównaniu z tym dyscyplina wojskowa, która usiłuje poniżyć indywidualność, wtłoczyć w bezosobowy szereg, który ma funkcjonować jak maszyna, jest dość łagodna. Żołnierz ma wolny czas, może wtedy odzyskać tożsamość, może też, jeśli chce tego ryzyka, odpłacić za poniżenie poczuciem wyższości, w końcu może zwiać. W nocy, leżąc na pryczy, może grać w pokera, pisać listy, wspominać, czekać na dzień, w którym go wypuszczą.

O tym wszystkim Mira nie myślała lub przynajmniej próbowała nie myśleć. To właśnie wtedy nabrała zwyczaju marszczenia brwi, zaciskania i wykrzywiania ust. To był koniec jej osobistego życia. Jej życie, odkąd zaszła w ciążę, stało się własnością innego stworzenia.

Co się dzieje z tą kobietą? — spytasz. — Ma do czynienia z Naturą, od której nie ma odwrotu, musi się z tym pogodzić i zrobić, co może, skoro niczego nie

jest w stanie zmienić. Tak, ale ducha i umysłu tak łatwo nie da się podporządkować. Rośnie uraza i bunt — uraza i bunt przeciw samej Naturze. Niektóre pragnienia można zagłuszyć, ale te, których się nie udało, do ostatniego dnia życia budzą nienawiść. Wszystkie kobiety, które znam, czują się trochę jak wyjęte spod prawa.

18

Pod koniec ciąży Mira zapadała tylko w krótkie drzemki. Ciało miała tak duże i obolałe, że każda pozycja po pewnym czasie okazywała się niedobra. Wstawała ostrożnie, żeby nie obudzić Norma, wkładała bawełniany szlafrok — jedyne, co teraz na nią pasowało — i szła na palcach do kuchni. Robiła sobie herbatę i siedząc na kuchennym stole piła ją i patrzyła pustym wzrokiem na ściany z ceratową tapetą w czerwone domki, z których kominów szedł dym, a przy każdym stało małe zielone drzewko.

Pewnej nocy nie mogła usiedzieć. Przemierzała kuchnię godzinami, bezmyślnie, wsłuchując się w swoje ciało. Zaczęły się bóle, więc obudziła Norma. Zbadał ją, ustalił okres porodu, żartując przy tym, że na szczęście odbył kurs ginekologii w zeszłym semestrze. Powiedział, że to sam początek, ale może zawieźć ją do szpitala.

Pielęgniarki były szorstkie i chłodne. Kazały jej usiąść i poprosiły o informacje: imię ojca, imię matki, adres, wyznanie, numer Błękitnego Krzyża. Potem wręczyły jej długą szpitalną koszulę i powiedziały, żeby poszła się rozebrać w zimnym, wilgotnym pokoju, który wyglądał i pachniał jak nieduża sala gimnastyczna. Teraz miała już bardzo silne bóle i nawet powietrze dotykające skóry drażniło ją. Pielęgniarki poleciły jej wejść na fotel ginekologiczny i zgoliły jej włosy łonowe. Woda była ciepła, ale na skórze stygła i Mira zaczęła się trząść z zimna. Potem robiły jej lewatywę, co doprowadzało ją do obłędu. Brzuch i podbrzusze bolały coraz gwałtowniej, jakby część jej wnętrzności odrywała się od reszty, skręcała inne organy i uderzała w dół, o kości łonowe, jak miarowo tłukący młot. Ból był jednostajny, bez chwili ulgi czy odpoczynku. Pielęgniarki wciąż od tyłu pompowały w nią ciepłą wodę. Woda pulsowała posuwając się do góry w innym rytmie niż ból; zginała się podwójnie w różnych

rodzajach skurczy. Kiedy już się to skończyło, poleciły jej usiąść na wózku i zawiozły do innego pokoju. Był surowy i funkcjonalny: białe ściany, cztery łóżka, po dwa pod przeciwległymi ścianami. Włożyły jej stopy w specjalne strzemiona i narzuciły na nią koc. Często do pokoju zaglądali lekarz dyżurny albo pielęgniarka: za każdym razem podnosili koc i zaglądali pod niego. W holu stały łóżka na kółkach, a leżące na nich kobiety czekały, kiedy wwiozą je do sali porodowej. Jedne jęczały, inne krzyczały, jeszcze inne leżały cicho. Jedna wywrzaskiwała: — Niech cię diabli wezmą, Morris, ty sukinsynu!; inna zawodziła: — Och, Boże, Boże kochany, Mario, Jezusie, Józefie święty, pomóżcie mi.

Pielęgniarki niezauważalnie przechodziły korytarzem. Gdy jedna z kobiet coś krzyczała, pielęgniarka odwróciła się do niej i powiedziała chłodno:

— Niechże pani nie zachowuje się jak dziecko! Co to, myśli pani, że pani już umiera?

Za Mirą stało łóżko zasłonięte różową kotarą przymocowaną do żelaznych kółek przesuwających się na karniszu wpuszczonym w ścianę. Kobieta leżąca na nim wdychała powietrze jęcząc: uch, uch, uch! Wezwała pielęgniarkę, ale żadna nie przyszła. Wołała kilkanaście razy, aż w końcu wydała przeraźliwy wrzask. Nadbiegła pielęgniarka.

— Co tam znowu, pani Martinelli? — powiedziała zirytowana. Mira nie widziała pielęgniarki, ale wyobrażała sobie, że stoi tam z pogardliwą miną, z rękami na biodrach.

— Już pora na znieczulenie — jęknęła kobieta z tą drażniącą intonacją dziecka, ofiary, bezradnego stworzenia. — Proszę poprosić doktora, żeby przyszedł, to już pora.

Pielęgniarka milczała: rozległ się odłos jakby szarpniętego prześcieradła.

— Nie, jeszcze nie pora.

Głos kobiety podniósł się histerycznie.

— Tak, już, już pora! Ja przecież wiem, mam pięcioro dzieci. Wiem, kiedy to przychodzi. Potem będzie za późno, już tak było poprzednio, było za późno i w ogóle nie mogli mi dać znieczulenia. Proszę powiedzieć, proszę powiedzieć doktorowi!

Pielęgniarka wyszła, a po jakimś czasie wszedł mężczyzna z szarą cerą, w wymiętoszonym fartuchu lekarskim. Podszedł do łóżka pani Martinelli.

— No, cóż to jak słyszę! Pani robi awantury, pani Martinelli? Myślałem, że z pani dzielna dziewczyna.

Głos kobiety brzmiał uniżenie, skomląco:

— Och, panie doktorze, proszę mi dać znieczulenie. To już pora, ja wiem, że

już pora, przecież mam pięcioro dzieci... Przecież pan wie, powiedziałam panu, co się zdarzyło ostatnim razem. Proszę.

— Jeszcze nie teraz, pani Martinelli. Proszę się uspokoić i nie sprawiać kłopotu pielęgniarkom. Proszę się nie martwić. Niech pani mi zaufa. Wszystko pójdzie dobrze.

Kobieta umilkła, a lekarz wyszedł z gniewnym grymasem na ustach. Mira była pewna, że jest pełen potępienia dla kobiety, która sprawia tyle kłopotu. Zacisnęła usta. Zdecydowała, że ona nie będzie tak się zachowywać, nie będzie skamleć ani krzyczeć, nie będzie dzieckiem. Nawet nie piśnie. Będzie się trzymać. Cokolwiek się zdarzy, bez względu na to, jak będzie bolało, ona pokaże, że kobieta może być dzielna.

Jednak pani Martinelli była uparta. Dopóki lekarz nie wyszedł, milczała. A potem płakała cicho i mamrotała do siebie, w kółko, bez przerwy:

— Przecież wiem, mam pięcioro dzieci, teraz już będzie za późno. Boże, ja wiem, że będzie za późno, ja wiem, ja to wiem.

Mira próbowała panować nad sobą. To nie bóle porodowe tak ją śmiertelnie przerażały: owszem, bolało, ale nie aż tak bardzo. Przerażały ją okoliczności: ten chłód i sterylność, pogardliwa niechęć lekarzy i pielęgniarek, ta upokarzająca pozycja z nogami w strzemionach i to zaglądanie jej między nogi, kiedy się komu podoba.

Nagle pani Martinelli znowu wrzasnęła. Weszła pielęgniarka mrucząc coś pod nosem ze zniecierpliwieniem. Ale głośno nie powiedziała nic. Pani Martinelli po prostu wyła. Pielęgniarka wybiegła i zaraz wróciła z koleżanką. Pospiesznie rozsunęły różową kurtynę. Mira na wpół usiadła na łóżku. Zobaczyła to trzecia pielęgniarka, wchodząca z lekarzem.

— Siadać, leżeć! — rozkazała, ale Mira uniosła się i niezgrabnie odwróciła tułów, żeby popatrzeć. Zaczęto wytaczać łóżko pani Martinelli z pokoju. Mira patrzyła: między uniesionymi kolanami pani Martinelli, w krwaworóżowym wejściu pokazała się mała, pokryta brązowym puchem główka. Pielęgniarka zerknęła na Mirę i narzuciła prześcieradło na kolana pani Martinelli. Kobieta krzyczała:

— Och, Jezu, pomóż mi, Boże, pomóż! — Było za późno na wyrzuty, za późno na znieczulenie. Zawieziono ją do sali porodowej.

19

Półtorej godziny później odesłano Mirę do domu. Bóle porodowe zupełnie ustały. Siedziała w domu, splatając i rozplatając palce. Norm poszedł na uczelnię, ale powiedział, że cały dzień będzie pod telefonem. Siedziała w kuchni, gapiąc się na tapety. Wczesnym popołudniem bóle znowu się zaczęły, ale nawet nie drgnęła. Nie jadła i nie piła. Norm, kiedy wrócił do domu wcześniej niż zwykle, spojrzał na nią i krzyknął: — Co ty wyrabiasz, kochanie! Powinnaś być w szpitalu! — Pomógł jej wstać i zejść ze schodów. Pozwoliła, żeby nią kierował.

Położono ją w tym samym pokoju, na tym samym łóżku. Dziecko miało się lada moment urodzić, wiedziała o tym. Bardzo ją bolało, ale ten ból był tylko fizyczny. Dużo gorszy był ten psychiczny. Chodziło jej po głowie: Z tej sytuacji nie ma innego wyjścia. Zbuntowała się. Nie chciała mieć z tym wszystkim nic wspólnego. To się zaczęło wbrew jej woli i poza jej kontrolą — i niech się tak samo skończy. Ten pokój, jęczące kobiety, pielęgniarki — wszystko to się oddaliło. Była tylko przejrzysta, biała przestrzeń i Mira wyciągnęła głowę, żeby zaczerpnąć stamtąd powietrza. Prawie nie zdawała sobie sprawy, że zrobiono jej zastrzyk, że ją gdzieś wieziono. Słyszała głos lekarza, który krzyczał:

— Musisz przeć! Przyj! Musisz pomóc!

Idź do diabła — powiedziała albo pomyślała, że powiedziała, i straciła przytomność.

Dziecko wydobyto kleszczami. Urodziło się z dwoma głębokimi zacięciami, na skroniach i na szczycie głowy. Wczesnym rankiem następnego dnia lekarz przyszedł ją obejrzeć.

— Dlaczego pani sama siebie zahipnotyzowała?

Spojrzała na niego niepewnie.

— Nie wiedziałam, że to zrobiłam.

Leżała w innym pokoju, otoczona różową kurtyną. Światło przenikało przez zasłony. Świat był różowy.

Nie chciano jej pokazać dziecka. Po kilkunastu godzinach zaczęła o nie wypytywać. Powiedziano, że to chłopiec i że ma się dobrze. Ale nie chciano go do niej przynieść.

Uniosła się na łóżku.

— Siostro! — zawołała stanowczo, chyba po raz pierwszy w życiu. Kiedy pielęgniarka weszła za różową zasłonę, Mira, powściągając furię, powiedziała:

— Chcę zobaczyć dziecko! To moje dziecko i mam do tego prawo! Proszę je przynieść!

Pielęgniarka, zaskoczona, umknęła. Po jakichś dwudziestu minutach zjawiła się inna, niosąc niemowlę zawinięte w kocyk. Stała niedaleko Miry trzymając dziecko, ale nie pozwalała go dotknąć.

Mira była wściekła.

— Zawołajcie mojego lekarza! — wrzasnęła.

Na szczęście był w szpitalu i nadszedł pospiesznie jakieś pół godziny później. Spojrzał na nią zatroskany, zadał jej kilka pytań. Dlaczego chce zobaczyć dziecko?

— Bo to moje dziecko! — wybuchnęła, ale widząc, że się jej przygląda z uwagą, opadła na poduszkę.

— Pokazują mi go w taki sposób, jakby coś z nim było nie w porządku — powiedziała już łagodniej.

Skinął głową ze zrozumieniem.

— Poproszę, żeby przyniosły dziecko — powiedział ciepło i poklepał ją po ręce.

Zaczęła pojmować, że podczas porodu pomyślano, że jest stuknięta i może coś zrobić dziecku. Po kilku dniach pielęgniarka potwierdziła jej domysły. Tak, czasami to się zdarza. Czasami kobiety popełniają nawet samobójstwo albo próbują je popełnić. Nazywa się to depresja poporodowa. Mira uśmiechnęła się gorzko. To obłęd, jasne. Każdą kobietę opanowuje dreszcz wzruszenia, kiedy zajdzie w ciążę, jest upojona, kiedy zaczyna się poród, i daje z siebie wszystko, żeby współdziałać z miłym panem doktorem! Wszystkie są grzecznymi dziewczynkami i kiedy ich dzidziusie się rodzą, są takie szczęśliwe! Pieszczą małe milaski i gruchają do nich. Jasne! A jeśli któraś tego nie robi, jest nienormalna. Nigdy nikomu nie przyjdzie do głowy zapytać, czemu kobieta zabiła dziecko, które kosztowało ją tyle bólu, albo dlaczego zabiła siebie, skoro ból minął. Ale jeszcze raz zrozumiała. To oni mają władzę. Albo się zachowujesz tak, jak tego od ciebie oczekują, albo nie dopuszczą cię do dziecka, dziecka z twojego własnego ciała, twojego własnego bólu. Musisz odgadnąć ich oczekiwania i dostosować się do nich — tak powinna działać. Kiedy pielęgniarka wróciła z dzieckiem, Mira uśmiechnęła się do niej. Jeszcze raz spytała o te nacięcia i o głowę dziecka. Zrozumiała, że te znaki to jej piętna, nie dziecka: to ona nie parła. W końcu pielęgniarka ułożyła niemowlę w jej ramionach, poobserwowała ją kilka minut i wyszła.

Zabawnie było je poczuć. Pielęgniarka powiedziała, żeby podpierać jego głowę, bo samo jej nie utrzyma. I nie dotykać szczytu głowy, bo jest miękki, ciemiączka się jeszcze nie zrosły. To niesamowite. Dziecko było pomarszczone

jak stary człowiek. Na głowie miało trochę puchu. Kiedy upewniła się, że pielęgniarka odeszła, przestała się uśmiechać i rozwinęła kocyk. Zajrzała. Dwie ręce, dwie nogi, dłonie i stopy były całe. Patrzyła z podziwem na malutkie paznokcie. Były nieco bardziej sine niż reszta ciała, też pokrytego sińcami. Nerwowo, nasłuchując, czy pielęgniarka nie nadchodzi, rozpięła pieluszkę. Penis, cienki jak dżdżownica, nagle się poderwał i nasikał jej prosto w oko. Roześmiała się.

Zapięła pieluszkę i uważnie przyjrzała się dziecku. Widziała pewne rodzinne podobieństwa; najbardziej przypominał jej nieżyjącego już wujka. Dziecko leżało z zamkniętymi oczkami, ale jego usta poruszały się cały czas, a rączki zaciskały konwulsyjnie. Musi być przestraszone, po tak długim czasie spędzonym w bezpiecznej ciemności. Włożyła wskazujący palec w jego małą dłoń, a ono szybko go złapało. Paluszki posiniały mu z wysiłku, a paznokietki zbielały. Nie zabierała palca, wydawało jej się, że próbowało podnieść go do ust. Coś się w niej poruszyło, kiedy ją tak trzymało. Uśmiechnęła się: zawsze to samo, od zarania życia: „Ja chcę, chcę". Pomogła mu poprowadzić palec do ust. Próbowało ssać, ale wyglądało na to, że nie bardzo potrafi. Przytuliła je mocniej i położyła się, odpoczywając razem z nim. Po chwili weszła pielęgniarka i zabrała je.

Mira oparła się na poduszce, jej ciało było zupełnie spokojne. Chciałaby jeszcze potrzymać dziecko. Czuła, że coś się zdarzyło w jej ciele, jakieś ciągnięcie, które wyszło od genitalii, przeszyło żołądek, piersi, serce i dotarło aż do gardła. Bolały ją piersi. Chciałaby je włożyć do jego buzi, chciałaby go trzymać w ramionach. Chciała, żeby leżało oparte o nią, ogrzewane jej ciałem, i żeby czuł bicie jej serca. Chciała się nim opiekować. To, co czuła, to była miłość, bardziej ślepa i irracjonalna niż miłość seksualna. Kochała je, ponieważ potrzebowało jej; nie to zresztą było najważniejsze, że było jej dzieckiem, że wyszło z jej ciała. Było bezradne i traktowało jej ciało, jakby było jego własnym, jakby ona była źródłem wszystkiego, czego potrzebowało. Wiedziała, że od tej chwili jej życie będzie dostosowane do potrzeb tego małego stworzenia, że to stanie się najważniejsze, że ciągle będzie próbowała zapełnić tę konwulsyjnie zaciśniętą rączkę, te otwarte różowe usta. Ale jakoś to było dobre — przez tę miłość, która była nie tylko miłością, która była czymś więcej niż potrzebą: była absolutną wolą, była odpowiedzią na wszelki ból.

20

W ciągu dnia słyszała głosy dochodzące zza różowej zasłony. Były ciche, szeptano, i nie słyszała, o czym się mówi. Ale teraz pielęgniarka, najwidoczniej uznawszy, że Mira jest zdrowa na umyśle, odsunęła zasłony jej łóżka. Była w dużym, jasnym pokoju razem z trzema innymi kobietami. Wszystkie łóżka zagłówkami dotykały ścian. Kobiety powitały ją jak spóźnionego gościa, na którego czekały.

— O, zbudziła się pani! Starałyśmy się nie przeszkadzać.

— Jak się pani czuje? Czy bolą szwy?

— Pani dziecko jest bardzo ładne. Widziałam, jak siostra je wnosiła. Zanosi się, że będzie miał głos! Zeszłej nocy obudził cały oddział położniczy. — Roześmiała się trzecia, pokazując braki w uzębieniu.

Mira też się roześmiała. — Dziękuję, czuję się dobrze. A panie?

Wszystkie czuły się dobrze. Były właśnie zajęte rozmową. Mira nie wiedziała, o czym rozmawiają. To nie miało znaczenia: ich rozmowy nie miały początku ani końca, nie zawierały żadnej konkluzji. Przez cztery dni Mira przysłuchiwała się im, a nawet włączała do rozmowy. Porównywały, ile mają szwów, ale nie narzekały na nie, raz tylko, kiedy zasłona była zaciągnięta i pielęgniarka myła Amelię, Mira usłyszała, jak ta szepnęła niespokojnie, że tam „na dole" boli ją mocno. Porównywały wagę dzieci, użalając się nad trzynastofuntowym maleństwem Amelii. Opowiadały, ile mają dzieci i w jakiej kolejności je rodziły. Grace ma siedmioro, Amelia czworo, Margaret dwoje, no a u Miry dopiero pierwsze.

— Pierwsze! — wykrzykiwały, uśmiechając się radośnie, jakby dokonała jakiegoś wspaniałego wyczynu. Bo dokonała. Teraz była jedną z nich.

Rozmawiały o dzieciach zostawionych w domu. Margaret martwiła się o swojego trzyletniego: czy zaakceptuje nowe dziecko? Grace roześmiała się, że aż ją zakłuło, i złapała się ręką za bok, łapiąc oddech. Miała cesarskie cięcie. Powiedziała, że o takie rzeczy to ona się już nie martwi. Jej dzieci byłyby zdziwione, gdyby co drugi rok nie znalazły nowego dzidziusia w kołysce. Mira spytała, ile lat ma jej najstarsze. Szesnaście — odpowiedziała Grace. Mira chciała zapytać, ile lat ma sama Grace, ale nie zrobiła tego. Mogła mieć trzydzieści cztery lub trzydzieści pięć, jak szacowała Mira, ale wyglądała na pięćdziesiąt z czymś. To właśnie jej brakowało zębów. Wieczorem, kiedy Mira

zobaczyła męża Grace, który ją odwiedził, wiedziała już, że Grace jest nieco po trzydziestce. Mąż wyglądał młodo.

Rozmawiały, rozmawiały i rozmawiały, ale w tych rozmowach były bardzo taktowne. Jeśli któraś kładła się i zamykała oczy, inne ściszały głosy albo wręcz milkły. Opowiadały o niemowlętach i dzieciach, o wysypce, kolce, przepisach, diecie, malowaniu i ozdabianiu pokojów. Mówiły, jak najlepiej zreperować przetarty dywan, podawały swoje ulubione przepisy na hamburgery, proste sposoby uszycia opalacza. Opisywały swoje dzieci i określały je w taki sposób: to jest wybuchowe, tamto nieśmiałe, niegłupie, nie lubi się z ojcem. Ale nie umiała wyczuć, czy są zadowolone czy niezadowolone z tej wybuchowości, nieśmiałości, inteligencji czy uległości. Ich dzieci po prostu są, a te kobiety kochają je bez względu na to, jakie są. Rzadko wspominały o mężach. Jeśli już, to przelotnie, jak o instytucji, do której zostały przypisane. Mężowie to dziwne stwory, którym trzeba ustępować, to ucieleśnienie zewnętrznego nacisku, który trzeba łagodzić. Jeden nie lubi ryb, drugi nie znosi jarzyn, trzeci nie zje razem z dziećmi przy stole. Jeden trzy razy w tygodniu wychodzi wieczorem na kręgle i trzeba go wcześniej nakarmić. Inny nie pozwala włączyć odkurzacza, kiedy jest w domu. Ale o osobistych stosunkach z tymi mężczyznami nie mówiły nic i Mira miała głębokie poczucie, że są drugorzędne wobec tego pierwszoplanowego, ciągle rozwijającego się fenomenu, jakim są dzieci.

Ciągnęło ją do tych kobiet, były ciepłe i tak łatwo ją zaakceptowały. Zdawała sobie sprawę, że gdyby mieszkała w sąsiedztwie jednej z nich, to mogłoby już nie być tak przyjemnie. Oddział szpitalny, jak każde sztuczne zbiorowisko ludzi, stwarzał tymczasowe stowarzyszenia. Rozmowy kobiet często ją nudziły, choć dowiedziała się z nich tego i owego: wróciwszy do domu naprawiła dywan, tak jak radziła Amelia, i to było niezłe. Właściwie jednak nie przysłuchiwała się rozmowom jako takim: słuchała tylko tego, co się kryło pod słowami. W miarę jak nabierały sił, a szwy mniej bolały, śmiały się częściej i serdeczniej. Mężowie, teściowe, dzieci: wszyscy byli powodem do radości. Ale nigdy nie mówiły o sobie.

Nie narzekały, o nic nie zabiegały, niczego nie wymagały, wyglądało na to, że niczego dla siebie nie chcą. Mira, przyzwyczajona do męskiego egocentrycznego świata, który był w gruncie rzeczy częścią niej samej, była zdziwiona tym brakiem koncentracji na swoim „ja". Ją zawsze cieszyło uznanie dla *jej* intelektu, *jej* zdania, *jej* wiedzy, i słuchając tego, co jeszcze miesiąc temu nazwałaby głupią rozmową, dostrzegła teraz to, co te kobiety w istocie mówiły, i to ją zawstydziło. Istota rzeczy brzmiała: tak, jestem taka jak ty. Martwię się

o te same sprawy co ty — codzienne, trywialne domowe drobiazgi, różne domowe naprawy. Tak samo jak ty wiem, że doczesne drobne zdarzenia są w jakiś sposób ważniejsze niż te wszechogarniające sprawy, te korporacje, inwazje, kryzysy, decyzje wychodzące z gabinetu prezydenta. Nie dlatego, że to, czym ja się zajmuję, jest najważniejsze. Nie, o nieba, nie! To są tylko drobiazgi, ale w życiu one znaczą najwięcej. W moim życiu, w życiu moich dzieci, nawet w życiu mojego męża, choć on tego nigdy nie przyzna. Mój mąż kiedyś wpadł w szewską pasję, bo nie było w domu kawy. Uwierzysz w to? Dorosły człowiek! Tak, takie sprawy są dla nich bardzo ważne. A moje własne życie — no, tak, moje życie kręci się wokół tych drobiazgów. Kiedy Johny'emu powiedzie się w Małej Lidze*, kiedy przez kuchenne okno w pewien szczególny sposób wpada słońce, kiedy uda się zrobić z kawałka taniego mięsa pyszny gulasz, albo doprowadzę swój nędzny pokój do prawie znośnego stanu, wtedy jestem szczęśliwa. Wtedy czuję się użyteczna, a w moim świecie panuje harmonia.

Mira słuchała i w ich głosach słyszała akceptację, miłość, samowyrzeczenie się, i pierwszy raz w życiu pomyślała, że kobiety są wspaniałe. Są tak wspaniałe, że ci wszyscy bohaterowie, władcy wyglądają przy nich na nadęte samochwały, nawet niektórzy poeci i malarze mają w sobie coś z egoistycznych dzieci, które wołają podskakując: „Popatrz na mnie, mamusiu!" Dla tych kobiet ich ból, ich własne problemy były drugorzędne wobec harmonii całości. Te same kobiety, które jęczały i przeklinały tam, na dole, w sali porodowej, teraz chciały zapomnieć o bólu i rozczarowaniach. Były dzielne. Dzielne, pogodne, akceptujące, miały szwy, blizny i kończyły na drutach ciepłe ubrania dla kogoś tam, psuły im się zęby, skąpiły na swoje ubrania, by mieć na dentystę dla Johny'ego. Swoje własne pragnienia niczym zeschnięte kwiaty z pierwszego szkolnego balu wtykały między kartki jakiejś książki.

Mira patrzyła na nie i uśmiechała się słuchając, jak Margaret martwi się, czy jej trzyletnie dziecko nie rozpacza, że nie ma jej w domu, a Amelia zastanawia się, czy jej matka będzie dawała Jimmy'emu owoce zamiast cukierków; uśmiechała się widząc Grace, leżącą cicho ze swoimi kłopotami: miała nadzieję, że Johny ma zreperowany rower, a Stella poradzi sobie z gotowaniem. Mira uśmiechała się do nich i razem z nimi śmiała się z absurdów wielkiego świata. Czuła, że wreszcie przybyła do portu kobiecości.

---

* Mała Liga — sportowe drużyny dziecięce.

21

Oczywiście, Valerie, kiedy to wszystko usłyszała, warknęła. Pewnego wieczoru siedziałyśmy u niej: Iso, Ava, Clarissa, Kyla, ja i Mira, która właśnie opowiadała o swoich przeżyciach w czasie porodu i połogu. Była późna jesień 1968 roku i jeszcze niezbyt dobrze się znałyśmy. Byłyśmy na etapie uprzejmej grzeczności, nie byłyśmy siebie pewne na tyle, żeby zbliżyć się całkowicie, ale na to się zanosiło.

Wtedy nie byłyśmy jeszcze tego świadome, ale łączyła nas niechęć do tych samych rzeczy — do wartości i zachowań, które widziałyśmy dookoła siebie w Harvardzie. Wszyscy studenci pierwszego roku źle się tam czuli. Ale my nie tyle nawet źle się czułyśmy, ile byłyśmy oburzone, a nasza niechęć — potem to sobie uświadomiłyśmy — pochodziła stąd, że dobrze wiedziałyśmy, jak być powinno. Ale owego wieczoru nie czułyśmy się jeszcze zbyt zżyte.

Zachwycałyśmy się mieszkaniem Val. Odnowiła je, choć nie miała za dużo pieniędzy, ozdobiła mnóstwem roślin i różnymi cudami, które zebrała w podróżach. To było śliczne miejsce.

Mira, z tą swoją prowincjonalną, afektowaną wylewnością powiedziała: proszę, jakie wspaniałe są kobiety; ach, spójrzcie na to piękne mieszkanie, żaden mężczyzna tak by go nie urządził, nie miałby takiej wyobraźni, zwłaszcza przy braku pieniędzy. Kyla, która właśnie wyremontowała mieszkanie swoje i Harleya, przytaknęła od razu. Wtedy Mira opowiedziała, jak to po urodzeniu Normiego niespodziewanie odkryła, jak wspaniałe są kobiety. Val prychnęła.

— Kupiłaś to! Kupiłaś ten wór idiotyzmów!

Mira zamrugała.

— No, przecież to bardzo wygodne mieć do dyspozycji całą klasę kobiet, która poświęci swoje życie dla innych! Jakie to miłe, gdy idziesz zająć się czymś, co rozwinie twoje „ja", a w domu zostaje ktoś, kto umyje podłogę w łazience i upierze brudną bieliznę. I nigdy, ale to nigdy, nie gotuje brukselki, bo ty jej nie lubisz.

Od razu zaczęły krzyczeć.

— To święta prawda! — Kyla aż zapiała.

— A dlaczego ty nie robisz tego dla mnie? — Isolde szeroko uśmiechnęła się do Avy.

Clarissa chciała powiedzieć coś serio: Nie sądzę... Ale Val nie można było powstrzymać.

— Mira, czy ty nie słyszysz tego, co mówisz: „Wielkość kobiet polega na ich samowyrzeczeniu". Równie dobrze możesz twierdzić, że miejsce kobiety jest w domu.

— Nonsens! — Mira nieco się zaczerwieniła. — Nikogo do niczego nie przypisuję, ja opisuję. Przecież te restrykcje i ograniczenia i tak istnieją. Obojętne, co byś powiedziała na temat tego, jak powinno być, one istnieją i są takie, jakie są. I jeśli nawet świat jutro się zmieni, to dla tych kobiet i tak będzie za późno...

— A dla ciebie jest za późno? — przerwała Kyla.

Mira uśmiechnęła się niepewnie.

— Słuchaj, chcę powiedzieć tylko tyle, że te kobiety są wspaniałe, bo tak dużo dają, a tak mało biorą.

— Otóż to! — natarła Val.

Isolde chichotała.

— Tego to ona nigdy nie odpuści.

— Ich przestrzeń życiowa jest bardzo ograniczona — ciągnęła uparcie Mira — ale nie stają się zamknięte czy podłe, próbują tę przestrzeń zagospodarować, tak żeby była miła i harmonijna.

— Powiedz to tym kobietom, które siedzą w szpitalach psychiatrycznych. Albo tym, które zapijają się na śmierć w swoich małych kuchniach. Albo tym pobitym właśnie przez mężów, którzy przedtem pili cały wieczór. Albo tym, które swoim dzieciom za nieposłuszeństwo wkładają ręce do ognia.

— Nie powiedziałam, że to dotyczy wszystkich kobiet...

— Okay — zaczęła autorytatywnie Clarissa i w pokoju przycichło — ale nie wszystkie te sprawy wyrastają z tych samych korzeni. Mężczyźni też podlegają ograniczeniom.

— O mężczyzn to ja się nie martwię! — krzyknęła Val. — Niech martwią się o siebie sami. Przez ostatnie cztery tysiące lat zupełnie dobrze sobie radzili. A problemy kobiet, owszem, właśnie wyrastają z tych samych korzeni, bo te kobiety są kobietami. Wszystko, co Mira opowiadała o swoim życiu, dowodzi, że było to jedno długie pasmo upokorzeń i dławienie samej siebie.

— To tak, jakbyś powiedziała, że kobiety nie mają indywidualnej tożsamości — powiedziała Isolde tonem sprzeciwu.

— Bo nie mają! Właśnie to stwierdzasz, kiedy mówisz o wielkości kobiet czy restrykcjach i ograniczeniach, którym podlegają. To właśnie tworzy tożsamość wspólną dla wszystkich kobiet i to oznacza brak indywidualności. Przedtem Kyla spytała, czy Mira czuje się zniszczona przez to, co ją ograniczało,

a odpowiedź brzmiała: „tak", albo „prawie tak"! Słuchaj — Kyla stuknęła szklaneczką o blat stołu — chodzi mi o to, że w istocie powiedzieć kobietom, że są wielkie, bo właśnie się poddały same sobie, to powiedzieć, żeby robiły to nadal.

— Tak, chcę, żeby tak nadal robiły.

Wycie.

— Tak właśnie myślę. Co się stanie z tym światem, jeśli one nie będą tego robić? Kto to będzie robił? Mężczyźni pracują, żeby można było przeżyć, kobiety pracują, żeby można było znieść to życie.

— No, to wobec tego dlaczego studiujesz? — Kyla prawie zerwała się z krzesła. — Dlaczego mieszkałaś, wybacz, w tym waszym sterylnym, bezosobowym domu? Czemu nie urządziłaś miłego, przytulnego domu dla chłopców i męża?

— Urządziłam! Chciałam, żeby był taki!

— I uwielbiałaś go.

— Ja go nienawidziłam.

Roześmiałyśmy się. Mira najpierw krzywo się uśmiechnęła, lecz potem się przyłączyła.

— Okay. Więc nie powiedziałaś, popraw mnie, jeśli nie mam racji, że wszystko, co powinny robić kobiety, to uszczęśliwiać innych. Czy nie mam racji? — Kyla pochyliła się do przodu, jakby odpowiedź Miry była najważniejszą sprawą świata.

— Nie. Powiedziałam tylko, że to robią i że to jest piękne.

— Okay. — Tym razem było to „okay" Clarissy. — Ale jeśli one chcą i mogą robić także inne rzeczy, to chyba dobrze?

Mira skinęła głową i wszystkie odetchnęły. Zapanował między nimi rodzaj rozejmu. Cieszyło je, że się do siebie zbliżają. Ale rozejm był tylko chwilowy.

Val oparła się o krzesło i założyła ręce.

— Jasne, jasne. Dopóki kobiety robią to, czego się od nich wymaga i co robiły zawsze — przynajmniej tak się nam mówiło. Ale ja w to wszystko wątpię: kiedy orały pola, wyciągały sieci rybackie, albo — jak to było w Szkocji — szły na wojnę, nie miały zbyt dużo czasu na dekorowanie domu albo wyszukaną kuchnię. Te brednie, które rodzaje pracy są kobiece, zrodziły się dopiero jakieś sto lat temu — zdajecie sobie sprawę? Przed rewolucją przemysłową tych koncepcji nie było, prawdopodobnie rozpowszechniły się tak szeroko w epoce wiktoriańskiej. No, jakkolwiek było, kobiety zajmują się teraz tym, co uznano za naturalne i właściwe dla nich, a jeśli mają jeszcze trochę czasu i energii, pozwala im się na coś więcej. Ale w gruncie rzeczy, jeśli ci prano mózg, aż go

wyprano, i zostało tylko samowyrzeczenie, to i tak nie wiesz, co właściwie chcesz robić, nawet nie umiesz o tym myśleć. To za mało, że chcesz.

— Nieprawda! — zawołała Kyla. — Ja robię obie rzeczy. Naprawdę dbam o Harleya, dbam o dom, gotuję. No, Harley zawsze robi śniadania — dodała szybko. — I robię także to, co chcę.

Spokojny głos Isolde aż się łamał: — I spójrz na siebie.

Wtedy wszystkie spojrzały na Isolde. Nawet Kyla, która raptownie odwróciła się na swoim krześle w jej stronę.

— Jesteś strzępkiem nerwów, masz wory pod oczami, po trzech kieliszkach wpadasz w histerię...

— Zaraz, nie jest ze mną tak źle...

I tak to się toczyło. Wreszcie Clarissa podsunęła rozwiązanie: jedyny sposób wyjścia z sytuacji zakłada, że wszyscy są zdolni do pewnego samowyrzeczenia i wszyscy uczestniczą w obu rolach, kobiecej i męskiej.

Wszystkie się z tym zgodziły.

Ale to nie pomagało. Rozwiązanie było czysto teoretyczne. Ponieważ jest faktem, że nie wszyscy uczestniczą w obu tych rolach i prawdopodobnie nie mogą i nie będą chcieli tego zaakceptować, wyglądało na to, że rozmawiamy o planach ulic i architekturze niebios. W naszej sytuacji zakładanie, że kobiety i mężczyźni będą zdolni do pewnego samowyrzeczenia, nie miało większego znaczenia, bo chociaż wszystkie studiowałyśmy, to w domu pełniłyśmy kobiece role, zwłaszcza Kyla i Clarissa, które miały mężów, i Val, która miała dziecko, a także, czasami, mężczyznę. Nawet Ava, rzadko zajmująca się domowymi sprawami, pędziła z pracy do domu, jeśli miały z Iso gości na kolacji, bo była przekonana, że kuchnia Iso jest niebezpieczna dla życia. Przyrządzała wtedy kurczaka tarragon i risotto. I to my miałyśmy być te wyzwolone.

Powiedziałam coś o tym i Iso westchnęła.

— Nie cierpię dyskusji o feminizmie, które kończą się pytaniem, kto ma zmywać — powiedziała.

Ja także. Niestety, zawsze kończy się na tym cholernym zmywaniu.

ROZDZIAŁ DRUGI